



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł – 8 stron

Warszawa, 12 lipca 1953 r.

Nr 28 (172) Rok IV

WIKTOR HUGO

Claude Gueux

Oto fragmenty tekstu, w którym romantyczna *pitie sociale* (łtość społeczna) zaczyna przenikać racjonalizm; w którym romantyczna groza staje się narzędziem realizmu. Pod naciskiem społecznych treści pękają ramy jednolitego kształtu artystycznego: jest to nowela i mowa sądowa, poezja i artykuł publicystyczny, odezwa i zarys powieści zarazem. Claude Gueux ogłoszony został w *Revue de Paris* w 1834 roku, w dobie ostrych dyskusji o kodeksie karnym. I kończył się wezwaniem do szerzenia ewangelii. Nie w tym dziwnego. Sprzeczność między oskarżeniem kapitalistycznego ustroju, zawartym w stworzonej wizji artystycznej, a własnym programem politycznym nie była w owym czasie czymś odosobnionym. Przeciwnie w tymże 1834 roku legitymista Balzac cieszył się już sławą jako autor oskarżycielskiego *Gobsecka* i Eugénie Grandet. Długa zresztą droga wiedzie od Claude Gueux do Nédzina i kół, opublikowanych dopiero w 1882 roku. Ale jest to droga prosta, łącząca przypadkowy bezkształtny jeszcze szkic z arcydziełem.

J. A.

Siedem lub osiem lat temu żył w Paryżu ubogi robotnik nazwiskiem Claude Gueux. Mieszkał z dziewczyną, która była jego kochanką i z dzieckiem, które z nią miał. Pisał, jak było, niechaj czytelnik sam zbiera nauki, w miarę jak fakty rozsiewają je na swych drogach. Robotnik był zdolny, zręczny, inteligentny, wychowanie nie dało mu niczego, natura dała mu wiele; nie umiał czytać, umiał myśleć. Pewnej zimy zabrakło pracy. Ani ognia ani chleba nie było w izbie. Mężczyzna, dziewczyna i dziecko znaleźli głód i chłodu. Mężczyzna ukradł. Nie wiem co ukradł, nie wiem gdzie ukradł. Wiem, że kradzież starczyła na trzy dni chleba i ognia dla kobiety i dziecka oraz na pięć lat więzienia dla mężczyzny.

Mężczyzna odsiadywał swą karę w centralnym więzieniu w Clairvaux. Clairvaux: klasztor, z którego zrobiono więzienie, cela, z której zrobiono klatkę, ołtarz, z którego zrobiono pręgierz. Tak oto niektórzy ludzie rozumieją i urzeczywistniają postęp o którym tyle mówimy. Oto rzecz, którą osłaniają tym słowem.

Idźmy dalej. Gdy przybył, wyznaczono mu na noc celę, a na dzień miejsce w warsztacie. Warsztatu nie potępiał. Claude Gueux, niegdyś uczciwy robotnik, teraz złodziej, był człowiekiem godnym i poważnym. Wysokie czoło, zbrudzone już nieco, choć młode, kilka siwych włosów, zgubionych pośród czarnych pukli, oczy łagodne i głęboko osadzone pod pięknymi łukami brwi, nos zgrabny, broda forenna, usta trochę wgaradliwe. Była to piękna głowa. Zobaczymy, co z nią zrobiło społeczeństwo.

Odzywał się rzadko, gestykulował skąpo, było coś w jego postaci, co zmuszało do posłuszeństwa, oblicze zamysłone, poważne raczej niż cierpienne. A jednak przecierpiał wiele.

W więzieniu, gdzie Claude był zamknięty, urzędował dyrektor warsztatów, funkcjonariusz typowo więzienny, strażnik i kupiec zarazem, który daje zamówienie i równocześnie grozi, który w ręce wkłada narzędzie pracy, a na nogi kajdany. Ten zaś był osobliwym przedstawicielem swego gatunku, suchy, tyrański, ślepo posłuszny władzy.



mal. S. Zechowski
Wiktor Hugo

Główną cechą jego charakteru stanowił upór. Pyszał się swym uporem i porównywał się do Napoleona. Było to jednak tylko złudzenie. Ulega mu wielu ludzi, którzy z pewnej odległości ów upór uznają za siłę woli, a światła świecy za gwiazdę. Prawie zawsze, gdy zwała się na nas jakaś obsługa lub publiczna katastrofa, chcąc z resztek i gruzów leżących na ziemi dowie-

dzieć się, jak do niej doszło, spostrzeżemy, że wywołał ją na ślepo człowiek przeciętny i uparty, pewny siebie i zachwycony sobą. Jest na świecie wielu takich nieprzejednanych, uważających się za opatrzność.

Taki oto był dyrektor warsztatów w centralnym więzieniu w Clairvaux. Takie było to krzesiwo, przy pomocy którego społeczeństwo usiłowało co dzień wydobywać z więźniów iskry.

Lecz iskra, którą wydobyć można przy pomocy krzesiwa, wznieca często pożar.

Powiedzieliśmy, że po przybyciu do Clairvaux Claude Gueux otrzymał przydział do warsztatu i wyznaczono mu pracę. Dyrektor zapoznał się z nim, przekonał się, że jest dobrym robotnikiem i potraktował go należycie. Będąc raz w świetnym humorze spostrzegł, że Claude jest smutny (Claude bowiem ustawicznie myślał o dziewczynie, którą nazywał swoją żoną); zatem więc jakby, a także na pocieszenie, opowiedział mu, że nieszczęśliwa dziewczyna utrzymuje się z prostytucji. Claude zżymno spytał, co się stało z dzieckiem. Nie było mu nic wiadomo.

Po kilku miesiącach Claude przyzwyczaił się do więziennej atmosfery i zdawał się o niczym nie myśleć. Jakaś surowa pogoda, właściwa jego usposobieniu, wzięła górę.

W tym samym mniej więcej czasie zdobył sobie szczególną pozycję wśród towarzyszy. Nikt — i on sam także — nie wiedział, dlaczego wszyscy, związani jakby milczącą umową, radzili się go, słuchali, podziwiali i naśladowali, co jest najwyższym stopniem admiracji.

Zdobywszy miłość więźniów, zdobył sobie Claude zarazem, na drodze naturalnej zupełnie reakcji, nienawiść więziennych funkcjonariuszy. Tak jest zawsze. Popularność idzie w parze z nienawiścią. Kto ma miłość niewolników, musi znosić nienawiść panów.

Claude Gueux lubił dużo jeść. Dla księcia, hiszpańskiego granda, który ma pięć tysięcy baranów, może to być okazją do żartów, dla robotnika jest to ciężar, dla więźnia nieszczęście. Claude był ustawicznie głodny w więzieniu w Clairvaux.

Był głodny, to wszystko. Nie mówił o tym. Taką miał naturę. Pewnego razu pokłaniasz swą chudą rację Claude zabrał się do pracy, aby oszukać głód Inni więźniowie jeszcze jedli, hałasując. Wtem podszedł doń młodzieniec jakiś, biały, jasnowłosy i wały. W ręce trzymał netknętą swą porcję i nóż. Stał przed nim, chciał coś powiedzieć i nie miał odwagi. Claude zniecierpliwił się na widok tego człowieka, tego kawałka chleba i mięsa.

— Czego chcesz? — zapytał w końcu zszorstko.

— Zrób mi przysługę — odparł tamten nieśmiało.

— Co takiego?

— Pomóż mi zjeść. Dla mnie to za dużo.

Łza zakręciła się w oku Claude'a. Chwycił nóż, podzielił rację młodzieńca na dwie równe części, wziął jedną z nich i począł jeść.

— Dziękuję — rzekł młodzieniec. — Jeśli chcesz, możemy się tak dzielić codziennie.

— Jak się nazywasz? — spytał Claude.

— Albin.

— Dlaczego tu jesteś?

— Ukradłem.

— Ja także — powiedział Claude.

Odtąd dzielili się tak codziennie. Claude Gueux miał lat trzydzieści sześć, chwilami jednak wyglądał na pięćdziesiąt. Albin miał dwadzieścia lat, ale dać by mu można było najwyżej siedemnaście, tyle było niewinności w spojrzeniu tego złodzieja. Serdeczna przyjaźń zawiązała się między nimi. Przyjaźń ojca i syna raczej, niż brata i brata. Albin był jeszcze dzieckiem prawie, Claude był już prawie starcem.

Pracowali przy jednym warsztacie, spali w jednej celi, przechadzali się po jednej łączce, jedli jeden chleb...

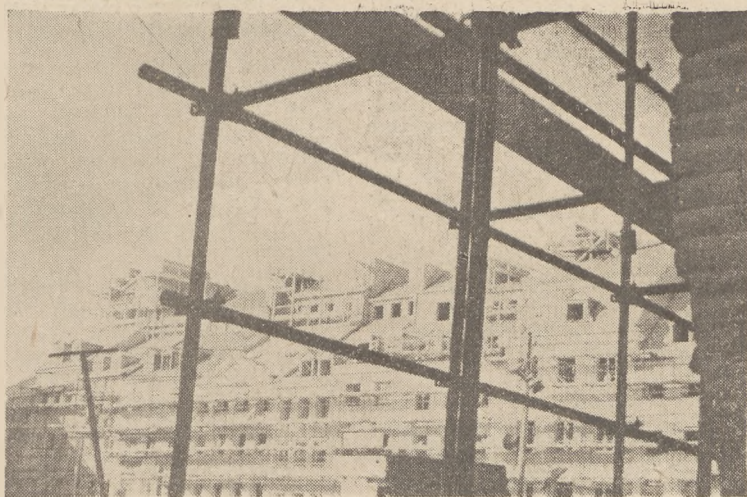
Pewnego dnia, pewnego ranka, gdy strażnicy przeprowadzali więźniów po dwóch z celi do warsztatu, dozorca więzienny wywołał Albina i kazał mu iść do dyrektora.

— Czego chcą od ciebie? — spytał Claude.

— Nie wiem — odparł Albin.

Ranek przeszedł i Albin do warsztatu nie wrócił. Zbliżyła się godzina odpoczynku i Claude myślał, że znajdzie Albina na spacerze. Al-

(Dokończenie na str. 6-iej)



Światła Starego Miasta

Dwieście lat temu na mocy zarządzenia prezydenta Starej Warszawy, Jana Dulfusa, zapłonęły pierwsze latarnie w mieście — na rynku Staremięskim, w bramie Nowomiejskiej i Krakowskiej. Magistrat ustanowił do zapalania tych latarni pachotków, lecz koszt ich utrzymania przerzucił na właścicieli zakładów publicznych, jak szynkowne piwa, win, miódów i wódki, reduty, bale i teatry. Tak Warszawa pod królewskimi rządami z trudem zdobywała to, co było dla niej konieczne. Opisy podróżników cudzoziemskich z tych lat nie były przepojone pochwałami miasta; przeciwnie — wszyscy podkreślali, że Warszawa jest mała i brudna. „Dziwiemy się nędzy miast naszych — pisał Hugo Kolltja, w anonimowo wydanej broszurze, skierowanej „Do Prześwietnej Deputacji, dla ułożenia projektu konstytucji rządu polskiego od sejmu wyznaczonej” — nie mamy żadnego, któreby kwitującym stanem zrównać się mogło z obcemi. Czemu? Bo właściciel ziemii miejskiej nic nie znaczy w rządzie naszym...” Przeszły jednak lata, zmieniała się Warszawa, lecz kiedy ów „właściciel ziemii miejskiej” miał już coś do powiedzenia, to budował domy czynszowe, z podwórzami ciemnymi jak studnie i suteranami, w których gnieździła się biedota. Z każdym rokiem przybywało Warszawy ludności, nie przybywało jednak domów dla robotników. Nędza przedmieść oskarżała! Wywoływała pełne gorczy protesty uczonych i pisarzy, z nią walczył Prus i Żeromski, walczyli filantropi i działacze społeczni. Nie utopia jednak inż. Baryki była w stanie przemienić rzeczywistość, lecz rewolucja społeczna, dla której zginęli na stokach Cytadeli „Proletariatczy” — za którą w wiezieniach burżuazji płacili latami męki komunisti. Wyzwolenie społeczne musiałoby przynieść także przemianę oblicza Warszawy.

3 lipca 1949 r. na I Warszawskiej Konferencji PZPR Bolesław Bierut nakreślił plany socjalistycznej przebudowy Warszawy. Partia robotnicza zdolała zmienić plany szlacheckich m. rzycieli w czyn, przywracając godność s w e m i miastu. Myśli urbanisty i architekta towarzyszyli odtąd ludziom pracy, zaś wysiłek robotników unaczynia niemal co dzień sens przemiany. Nam, artystom, pozostało danie świadectwa prawdziwie i pięknie naszych czasów, podkreślenie romantyzmu i rozmachu tej przebudowy i wskazywanie na przeszłość, aby tym silniej podkreślić wielkość wysiłku, jaki przypadał w udziale naszemu pokoleniu.

Jest on niemały. Przed paroma dniami oglądałem po wielokroć już widziane planse warszawskie znakomitego grafika, Tadeusza Kulskiego. Pochodzą one z wiosny 1945 roku, z drugiego okresu, kiedy to przedstawiano cmentarz rumowisk, a krajobraz warszawski podobny był kraterom księżycy. Dopiero zestawienie tych obrazów

jakże odległych już naszej świadomości i wstrząsających swą grozą, ba, nawet — nieprawdopodobieństwem, a przecież to wszystko było n a s z ą rzeczywistością — zestawienie z tym, co widzimy na ulicach naszego miasta, daje miarę wielkości naszych czasów. Nie o zachwyt nam jednak chodzi, nie o słowa uznania, lecz o ustawiczne podkreślanie, że ten wysiłek nie jest ostateczny, że mamy dopiero początek drogi, a to nas zobowiązuje i zmusza do zwiększenia pracy, abyśmy mogli wreszcie powiedzieć sobie, że t a m t a Warszawa nędzy robotniczej należy do historii, a my już jesteśmy mieszkańcami n o w e g o miasta, którego podstawową barwą będzie kremowy odcień piaskowca i zieleń miejskich parków, gdzie nie będzie „koszarów Blocha” i ruder Annapola, lecz osiedla robotnicze, pełne przestrzeni i słońca, gdzie zamiast podwórzki będą dziedzińce zieleniące trawnikami.

Dużo jest pracy u nas w Warszawie i gorący jest lipiec! Asfalt lepki jak guma ugina się pod ciężarem ciągników, naladowanych workami cementu. Wozy z cegłą mijają wozy z gruzem, a wyłaniająca się spozu rusztowań biel otynkowania świadczy, że niewiele zostało do wykończenia. W pogodny wieczory, kiedy mury parują ciepłem i znad Wisły płynący wiatr chłodzi ulice, wszyscy idziemy w kierunku Starego Miasta. Prowadzą nas widniejące z daleka odbłyśki dźwięków Pałacu Kultury. Już zapaliły się pierwsze światła wielkomiejskie, most płonie jakby osadzone pochodnie na jego łukach, w dali, w stronie Żerania, rozbiłskują fioletowe i srebrne smugi spod palmików sparaczy. Na czerwonym, pociągniętym miną szkieletach elektropiękowni zapalają się światła, tonąc odbiciem w rzecze. Noc nie jest przerwą w pracy, noc jest dalszym zwiększeniem wysiłków. A tymczasem przeciskając się przez wąskie uliczki, wypełnione tłumem, który podziwia n o w e mury Starego Miasta, dochodzimy do rynku, na którym w świetle reflektorów murarze kończą ostatnie prace dnia i słyszą uderzenia posadzkarzy, dobywające się spozu szeroko otwartych okien. Część kamieniczek zrzuciła rusztowania, olśniewając swym pięknem. Ogień barbarzyńcy spopielił te stare mury, myśmy je wznieśli na powrót!

Tego upalnego wieczoru lipcowego nie wolno zapominać nam o jednym, że ogień wzniecony ręką pioniar nadal w murach Phenianu i że ręka barbarzyńcy chciała cisnąć płonącą żagiew na ulice Berlina. My każdą chwilą swej pracy budujemy przyszłość, oni zaś — podpalacze świata — myślą o naszej zagładzie. Ale zagłada spotka barbarzyńców, zaś ogień, który chcą rzucić na nas, spali ich stary świat. Takie jest prawo historii, gdyż — jak pisał współczesna poetka — „Klasa z pamięcią złą — umiera”.

Lesław Bartelski

Juliuszowi i Ethel Rosenbergom

(Artykuł napisany specjalnie dla „Nowej Kultury“)

Nie byliście znani, ale mimo to przydałście się, bezwiednie przysłużyliście s e, racji stanu. Żaden rząd nie może prowadzić niesprawiedliwej wojny z obcym narodem, jeżeli nie zatrudnia i nie zmusza do uległości własnych obywateli.

Za waszą sprawą stało się zadość tej właśnie konieczności: by uczynić dla narodu amerykańskiego możliwym do przyjęcia mordowanie napalmem Koreańczyków — i zagłuszyć wołanie o pokój i powrót do kraju. Albowiem zbyt wielu Amerykanów wzbraniało się wejść na drogę trzeciej wojny światowej; zbyt wielu nie dostrzegало konieczności stosowania obozów koncentracyjnych, kontroli sumień, palenia książek, produkowania armat zamiast domów mieszkalnych. Tedy obowiązkiem rządu imperialistycznego było pouczyć ich.

Wyście byli kartką z podręcznika zatytułowanego „Polityka opowania świata”. Użyto was, by w oczach opinii związało słowo „Pokój” ze słowem „zdradca”.

Niewinność wasza nie miała znaczenia wobec tego, że byliście tak przydatni. Przydatni, jak Dreyfus, jak Mooney, jak Sacco, Vanzetti, chłopczy ze Scottsboro i Willie McGee, i lista ofiar tak długa, że tylko kilka z niej nazwisk przejdzie do potomności.

Byliście przydatni także jako siostra i brat nędznego złodzieja, przekupnego, zastraszonego zwierzęcia, gotowego powiedzieć wszystko, co mu każą. Byliście specjalnie przydatni ze względu na waszą czystą przeszłość polityczną — ze względu na to, że pomagaliście dzieciom uchodźców hiszpańskich i że wolałście o drugi front w 1942 roku, i że umyślnie wasze były podatne na osłabienia socjalizmu. Wszystko to stanowiło dla uprzedzonego korpusu sędziowskiego „dowody”, że z natury swej i skłonności musieliście być agentami obcej potęgi.

A przeto, skoro było to tak bardzo konieczne, wasz własny rząd

uwał was, oderwał od domu i dzieci, zamknął w celach, wytoczył proces, zgromadził fałszywe oskarżenia, fałszywych świadków, fałszywe zeznania. I chociaż wolałście „Jestem niewinny!” — zaciętrzewiony sąd przysięgłych uznał waszą winę, a ciemny, stronniczy sędzia, żądny poklasku antysemitów, orzekł, iż jedynie wasza śmierć może uczynić zadość racji stanu.

Podczas tych okropności zachowaliście niezłomność. Czekaliście niezłomni w swojej celi śmierci. Tak łatwo mogliście kupić sobie życie, jak wasz niegodny brat kupił swój wyrok więzienia za cenę fałszywych oskarżeń. Aleście nie chcieli; blagano was, lecz zdemaskowaliście ich. Zналиście cel tej komedii sądowej. Byliście zbyt rzetelni, zbyt uczciwi, zbyt oddani ludzkości, aby się stać narzędziem ich brudnej polityki.

Gardziliście nimi, lecz wierzyliście. Wierzyliście, że wyratują was ci ludzie, którymi znów gardzą wasi prześladowcy. A nawet jeśli nie uratują, gdyż szanse były nierówne — wiedzieliście, że czynem swym służycie tym ludziom.

Przemawialiście do świata! Cierpieliście dniem i nocą! Pisaliście do siebie i swoich osamotnionych, oszołomionych dzieci listy, które zdumiewać będą ludzką wielkodusznością, czułością i mocą serca człowieka, wystawionego na próbę. Nasłuchiwalicie pilnie, jak rośnie zieleń, jak z całego świata dolatują okrzyki. Widzieliście, jak prawda toruje sobie drogę. Jak wyciągają do was dlonie dziesiątki tysięcy, a potem miliony, dziesiątki milionów! Widzieliście jak demaskowano fałszywych świadków, wykrywano krzywoprzysięstwo, jak zerwana maska sprawiedliwości obnażyła prawdziwe oblicze zmywu rządowej.

A wszystkim po to tylko, by się dowiedzieć, iż w Sądzie Najwyższym większość sędziów, tych żołnierzy zimnej wojny, odmówiła wysłuchania waszej sprawy, odmówi-

ła rozpatrzenia nowych zeznań, odmówiła przeciwstawienia się wymogom racji stanu. Wszystko po to tylko, by się dowiedzieć, że pan ze sztabu generalnego — z kancelarii prezydenta — nie odważył się przyznać, iż jego Wydział Sprawiedliwości został wpłatany w polityczną inscenizację sądową. By się dowiedzieć wreszcie, że Amerykanie na wysokich stanowiskach są do tego stopnia otumanieni strachem, chciwostwem, żądzą władzy — iż mordstwo staje się dla nich jednym ze środków do życia.

O, dobrzy, zaci, sponiewierani! mężczyno i kobieto! Los wasz był tak straszny, że chyba ziemia zadrała pod więzieniem w momencie waszej śmierci! Tak, jak drgało krwawiące mnóstwo serc w tyłu krajach! Ale do ostatka nie udało się nie tylko złamać, lecz choćby ugiąć waszej nieskazitelności. Więc pokonani prześladowcy — zamordowali was.

Będziecie pomszczeni. Wszyscy poznają prawdę o tej zмовie, jej cel, metody — i czystość waszego oporu. Historię waszą opowiadać będą setki pokoleń z daną łez dla waszych cierpień, z oburzeniem na zbrodnie, jakich się na was dopuszczono. I zapanuje na ziemi owo braterstwo, w któreście wierzyli, dla którego cierpieliście, nie chcąc się go zaprzeczyć. Nie wy z waszymi dziećmi, lecz inni ze swoimi będą żyli w spokoju i bezpieczeństwie. Wiedzieliście o tym, zanim was uśmiercono. Gdyż inaczej nie byłoby tyle nieugiętej dumy w waszych ostatnich krokach.

Żegnajcie! Dodaliście sił milionom. Wasze zespolone serca pulsowały godnością i wielkością człowieczeństwa.

Albert Maltz

ARTUR MIĘDZYRZECKI

W SZKLANYM PAŁACU MEMOSZ

w Memosz — budapeszteńskim Domu Zw. Zaw. — trwała Sesja Światowej Rady Pokoju.

W szklanym pałacu Memosz Mówią przybyście z daleka. Niech będzie radość nad ziemią, Na radość się nie czeka.

Chmurzy się przestrzeń, chmurzy, Kanalia chce świat podpalić. Walczymy przeciw burzy Czuwamy. Będziemy czuwal.

Mówi delegat Belgii, Mówi delegat Meksyku. Mieszkańcy stolic odległych Łączą się w jednym okrzyku;

Lawiną spada okrzyk, Ludzie równają kroku; Drżą gieldowy kumotry. Pierścien zwiera się wokół.

Gwizdzą syreny Antwerpii, Kłipą paryskie place; Na próżno ciągną na Berlin Faszyści — podpalacze,

Na próżno jatrzą podłę Nad Renem i w Korei, Ażby pokój odwiec, Żeby nie było nadziei;

Nie wygrają, nie przejdą Po napalmowych szlakach. Nie będą mieli Kożedo. Nie będą mieli Dachau.

Rozpozna lud Berlina, Stojąc przy miastach bramach, Ręce które w więzieniu Mordowały Thaelmanna,

Rozpoznają narody Każdy zamach i podstęp. Idziemy przez wszystkie drogi. Nasze drogi są proste.

W szklanym pałacu Memosz Mówią przybyście zdrożeń. Płynię ich głos nad ziemią, Słuchając ludzi na ziemi;

Przemoc lech nie przeraża. Na nas patrz! Na wschod. Będą wrota wyważać, Gdy pokój stanie u wrót,

JULIAN TUWIM „Cukrowana” relacja

Niech mi wolno będzie do-
rzucić garstkę szczegółów
do tej części sprawozdania
Zb. z Sekcji Poezji Związ-
ku Literatów Polskich po-
święconej Onieginowi w
przekładzie Ważyka, która cma-
wój referat (Nowa Kultura, nr 26),
sprawozdawca bowiem przedstawił
ja jednostronnie, z tendencyjną re-
zerwą, z pominięciem bardzo istot-
nych zarzutów, jakie przeciw pracy
Ważyka wytoczyłem.

Zb. pisze: „Julian Tuwim uznając
wiele strof Ważyka za „arcydzieła
przekładu” poddał analizie poszcze-
gólne usterki przekładu zarzucając
mu archaizację, błędy językowe oraz
„licencje niezgodne z duchem i gra-
matyką języka polskiego”.

W samej rzeczy: wspominałem o
pewnych świetnych strofach, doda-
łem jednak, że na czterysta z górą
strof Oniegina n.e podobna doliczyć
się choćby jednej setki dobrze i bez-
błędnie przełożonych.

Z relacji Zb. wynika, że zarzuty
moje dotyczyły wyłącznie archaiza-
cji, błędów językowych i licencji.
Tymczasem w przemówieniu moim,
trwającym ku utrapieniu licznego
audytoryum pięć kwadransów (27
stronic maszynopisu) rozpatrzyłem
cały szereg innych jeszcze uchybień,
wypażeń, błędów, pomyłek i więc-
wykoślawień Puszkiniowskiego arcy-
dzieła w spolszczeniu Ważyka. Mo-
żna by te przemilczane przez Zb.
grzechy i grzeszki tłumacza podzie-
lić z grubszą na rodzaje następujące:

1) Prozaizmy — nie te i tego pokro-
ju, które Puszkiniowi świadomie
wprowadził do poematu, lecz te, które
zjawiały się w przekładzie na mie-
scie lirycznych, emocjonalnych wy-
rażeń oryginału. Ważyk odbarwia i
obnia styl Puszkina. 2) Przekład
świadczy w wielu wypadkach o bra-
ku wyobraźni tłumacza, o braku da-
ru widzenia. Rezultat jest taki, że
przed oczyma czytelnika polskiego
Oniegina przesuwają się obrazy w
najlepszym razie dziwne, w gorszym
— nielogiczne, w najgorszym
zaś — groteskowe i śmieszne. 3) Wa-
żyk wulgaryzuje język Puszkina,
wtrącając w tok mowy obce duche-
woi oryginału zwroty brukowe, try-
wialne, tu i ówdzie z warszawskiej
gwaru zapożyczone. 4) Ważyk w kil-
kunastu miejscach wykazuje niedo-
stateczną znajomość języka rosyj-
skiego, nie rozumie tłumaczonego
tekstu i przez to wypacza sens po-
szczególnych wyrazów i zwrotów. 5)
Licznymi cytatai dowiodłem, że
tłumacz nie orientuje się w realiach
historycznych, folklorystycznych i
obyczajowych. 6) Autor Oniegina jest
genialnie wzięły, ścisły i oszczędny
w mowie. Ta właśnie oszczędność, to
„skąpstwo” poety sprawia, że tak
hojnie rozsiewa przed nami blaski
swojej poezji. Wiersze poematu są
szczerze i ciasno wypełnione naj-
trafniejszym i tylko niezbędnym, o-
statecznym w doskonałości i precy-
zji tworzywem leksykalnym. Nie ma
tam żadnej waty, słomy, sieczki czy
trocin, pakowanych do wierszy z ko-

nieczności utrzymania toku rytmicz-
nego, lub potrzeby użycia takiego a
nie innego rymu. Każdy wyraz mo-
no przylega do wyrazu, a obraz do
obrazu. Tęgo wspaniałego stanu rze-
czy nie podobna oczywiście zachować
w przekładzie. Tłumaczowi: wolno
(bo inaczej nie da rady) tutaj dodać
coś „od siebie”, tam odjąć, a gdzie
indziej rozwinąć nieco skondenso-
wane wiersze oryginału. Nie wolno
mu natomiast nadużywać tego
prawa. Musi to robić z najdalej po-
suniętą ostrożnością, taktem i umi-
arem. Musi dobrze wiedzieć, co ewen-
tualnie można dodać, czego zaś w
żaden sposób nie wolno pomać,
bo inaczej dopuszcza się śmiertelne-
go grzechu przeciw samej istocie
artyzmu Puszkina. Tęgo typu fun-
damentalnie antypuszkiniowskich
cech stylistycznych, tej „odsiebici-
ny” jest w przekładzie ilość zastras-
zająca. Sprawa ogółocenia Puszkini-
na z... puszkiniizmów i rekompensa-
wania tych spustoszeń nie zawsze u-
datnymi wazykizmami wymagałaby
osobnego studium.

Nie same więc błędy gramatyczne,
archaizmy i licencje niezgodne z du-
chem i gramatyką języka polskiego
obciążają ten przykład.

Nie wyczerpują bynajmniej
w wszystkich błędów, usterkach, u-
chybień, przeinaczeń, nieścisłości,
niezrozumień, nieporozumień, znie-
kształceń, de-poetyzacji i de-puski-
nizacji nowego polskiego Oniegina,
przytoczyłem ich jednak w swoim
referacie ponad dwieście... Sprawo-
zawca Zb. przyznaje wprawdzie, że
„w przemówieniu Tuwima wiele by-
ło zarzutów słusznych”, a zaś zgad-
zam się z dalszym ciągiem jego
zdania, że były wśród nich również i
niesłuszne. Ale dlaczego Zb. ograni-
czył swą relację do jednej tylko
(choć trzema różnymi terminami ra-
zowanej) kategorii moich zarzutów?

Dalej: dlaczego twierdzi, że ja „kwe-
stionuję sięganie do tradycji styli-
stycznej, a w konsekwencji chcąc
nie chcąc kwestionuję ciągłość języ-
ka”? Z czego to wynioskował? Po-
wiedzieć tak:

„Trudno zrozumieć, czym się tłumacz kierował wprowadzając do
przekładu staropolszczyznę w tych
miejscach, gdzie Puszkini używa
wraz z wyrażeniami „normalnymi”,
bezprezjonalnymi, bez „człowie-
kiej stylizacji, słowem: żywego (za
języka czasów i dziś — rzy) języka ro-
syjskiego. Tłumaczając zdanie „Lubi-
bi bezumnie trzewogę ja beztrudno
ispytał”, Ważyk, nie wiadomo czemu,
stosuje Łarokowe „cukrować”: „Ja,
zakochany bez pamięci, cukrować
ran nie miałem chęci”. Czym uspra-
widliwił to sięgnięcie do słownictwa
Kochanowskiego i Morsztynowa,
a nawet wcześniejszych pisarzy? Al-
bo: dlaczego „afekt”, gdy Puszkini-

wi wystarczyła „liubow”? Czemu i
po co wysadzić się na „lubo”? W
znaczeniu „czy”, „czyli”? Ważyk pi-
sze: „...nie ręczę, lubo znajdziecie
w Rosji całej choć ze trzy pary zgrab-
nych nóg”. Owszem, znajdziemy tak-
ie „lubo”, ale u Szymonowicza:
„Lubo na odpusty pójdzem, lubo na
kiermasze, wszędzie cię wspomnie-
my” — ale nie ma żadnego powo-
du do częstowania tym słówkiem
współczesnego czytelnika. Niepo-
trzebny jest „wiek próżniący” (gdy
u Puszkina mamy po prostu „...gdzie
dni moi tleli w głuszy, ispolnieniy
strastiej i lileni”), niepotrzebny „spo-
sobny” w sensie „sprzyjający”, nie-
potrzebne „w osiemnastym lecie”,
Wątpliwości budzi mickiewiczowski
„kurhanek” („gdy sypia nam kur-
hanek”) — kiedy u Puszkina mamy
zwykajnie „za grobom”. Dobre na-
tomiasz i na właściwym miejscu są
również mickiewiczowskie „księgi
zbojeckie” jako równoważnik „Nie
muki tajnyje złodziejstwa ja grozno
w niom izobrażu”.

Czy to jest z mojej strony „kwe-
stionowanie sięgania do tradycji
stylistycznej” i „kwestionowanie cią-
głości języka”? Bynajmniej. To ty-
ko proste poczucie, że to czy inne
obumarte słowo w TYM miejscu
jest... nie na miejscu. Dlaczego? Dla-
tego, że w TYM miejscu Puszkini
zadnego archaizmu nie użył. Idąc
drogą takiej „tradycji” można by np.
puszkiniowskie „laskat” oddać staro-
polskim „kęblat”, albo, dajmy na to,
w „Połtawie” zastąpić słowa „wier-
nyj koń (...) glazami koso wodit i
meczta w prachie bojowem, gordiaś
moguszcim siedokom” — dwu-
wierszem Kochanowskiego z „Epithala-
mum” na wesele Radziwiłła:

„Wdzięcznym głosem porzyza,
wędziła smakule,
Nogami ziemię kopa, pana upatruię”.

Raz to staropolszczenie tym wię-
cej, że się jednocześnie używa w
przekładzie takich słówceczek, jak
„sam nacinyj” jak prostacek (...) u-
miał (...) z rozmysłu **nabrać się na
kant**”, „znowu leżę” (u Puszkina: „Nie
mogę”), „nie biorą go światowe plot-
ki”, „dlaczego dzisiaj **lgnie pan do
mnie**? dlaczego **wpadam panu w o-
ko**?” (Tatiana do Oniegina), „paszlet
nie lichi”, „na rym ci leżą **tuberozy**”
(?), „do samowara **pcnie się** Olę”,
„w polu ciemno, **psłałość**”, „kiasć
człowieka bez ceremonii **na pif pa**”,
jak również i to, że w czasie podróży
do Moskwy Tatiana „nudą naszych
drog dowoli **pała się w karcie**” (u
Puszkina: **nasiłdila**).

Nie mogę zrozumieć, dlaczego
sprawozdawca Zb. nie dosłyszał w
moim referacie powyższych przykla-
dów brutalizacji puszkiniowskiego je-
zyka? Nie dosłyszał on także więk-

szości innych moich zarzutów, z któ-
rych tutaj drobną część wymienię:
— „W poczesnej służbie okazał
Ojciec panicza brnął w procenta”.
Okazał brnął?

— Leński spieszy do Larinowa. O-
negin pyta go: „I cóż cię niesie?”
przy czym zwraca się do przyjaciela
per „Włodziu”. Leński proponuje O-
neginowi: „Zbierz się ze mną”, a
podczas wizyty matka i córki okazu-
ją gościom dowody tak uciążliwej
gościnności, że... „aż to dokuca im
po malui”.

— „Niech jasno ta różnica stanie
Pomiedzy mną a Eugeniszem”.
— Strój Oniegina „zbijał muchy
lat czterdziest”.

— „Dunia nalewa z samowara”.
— „Wal się niedźwiedź” („Walł
miedwiedź”).

— Onegin gra w bilard „tępy
kijaszkim”.

— Leński i Olga siedzą nad sza-
chownicą „nie odrywając od niej
czół”.

— Olga „ledwie z pieluszek się
wykula”.

— „Zarecki wstał bez komentarza.
Od razu spojrzął się za próg”. (W
jaki sposób Zarecki, będąc jeszcze w
pokoiu, mógł „spojrzeć się za próg”?
I dlaczego? I w jakim celu? I co to
w ogóle znaczy? Puszkini pisze: „Za-
reckij wstał bez objaśnienia. Ostata
dolie nie chotiel”.)

— „Bierz Cliquot!” mówi Leński
do Oniegina (tj. napij się szampana).

— „W stołowym na stół dano”.
— „Zacny, że przyłóż go do ran”.
— „Wiruje walca wicher lotny”.

W oryginalne: wicher? szumny? Epit-
et „lotny” nadaje się do wichru w
tym samym stopniu, co „letni” do
ukropu.

— „Potok obiega rolne skiby”.
— „Podniósł się ruch”.
— „Szerokie pola na rozstaju”.
— „Ciotki mrugnęły powiekami”.

— Puszkini pisze, że Tatiana lubi
„moroznyj piylju podyszał” — w
przekładzie lubi ona „**wciągnąć w
pluca** (!) mroźną kurawę”.

— W Odessie „świeży trud gdzie-
niegdzie wywiódł zadrzewienia”.

Jak widać z powyższych cytacji,
temu, co na ogół przywykliśmy na-
zywać dobrą, poprawną, prostą, jas-
ną mową polską, zadał tłumacz sp-
rą ilość ran, ciosów i obrażeń. Dla
zaoszczędzenia „Nowej Kultury”
cennego miejsca, wymienię zaled-
wie kilkanaście przykładów. Wszys-
tkie one pominięte zostały przez spa-
rowozdawcę dyskretnym, dyplomatycz-
nym milczeniem. Nie dosłyszał.

Nie dosłyszał też tylu **dziesiątków**
innych ciężkich zarzutów!... Wierć
po co mówić o jakimś rzekomym „kwe-
stionowaniu” przeze mnie „sięgania
do tradycji stylistycznej”? Iajmy

temu pokój, bo, jak to się mówi,
„śmiec na sali”.

Niech Zb. zechce raczej wytłuma-
czyć łaskawie czytelnikom „Nowej
Kultury”, z jakiej to polskiej „tra-
dycji stylistycznej” wziął tłumacz
wyrażenia „A co? A pstro”. („A
czto? Da tak ...?”) „strasburski pasz-
tet co dzień świeży i tuż (?) francus-
kiej kuchni kwiat, potem limburski
ser”; szalas, który „rażącym świeci
się okienkiem”; zwrot „uraził twoje
uszy za (!) flaszą wina”; „jazda wy-
winie się jak z platka”; owego pod-
skakującego na jednej nodze gąsiora
(rozdział IV, strofa 42); koszulkę o-
padającą z obu ramion Tatiany (III,
32); „dwoje oczu” kilkudziesięciu
potworów (V, 19); wyrażenie „twa
słota serce uszle tręca” (I, 34) itd.,
itd. — i z jakiej „tradycji” prze-
kładał arcydzieło literatury rosyjskiej
na język polski zaczerpnął Ważyk
tłumaczenie słów „kak eto mudreno”
za pomocą „mądrześ to zrobiła”;
„prislowniszis u dwierej” — „wpół
się drzwiami przysłownisz”; „totoł
odolził” — „to bym mu darował”; a
przysłowia „szczęj gorszok, da sam
bolszoi” (tj., mniej więcej, odpo-
wiednik naszego „domek ciasny, ale
własny”) — za pomocą „garnek
barszczy, aby duży”...

Są to, naprawdę, ważniejsze za-
gadnienia niż piękne czy niepiękne
„cukrowanie”, ale głucho o nich nie-
stety w idyllicznej relacji z Sekcji
poświęconej przekładowi Oniegina.

Chciałbym tu również poruszyć
sprawę pewnego niedobrego obyca-
ju: obycaju powoływania się na
Mickiewicza i Słowackiego, ściśle;
zastąpienia się Mickiewiczem
i Słowackim. Broni się „dyczy”, gdy
mowa o wilkach, bo Mickiewicz (vide:
Słownik Karłowicza I, 635) na-
pisał „Dzień z krwawymi pazurami”;
broni się „wiana” w znaczeniu „wia-
nek dziewiczy”, bo Słowacki (vide
tenże Słownik VII, 535) napisał: „To
ślub dla czystych dziewic; na dzie-
wiczym wianie za każdym pocałun-
kiem jeden listek spada”... Ale Mic-
kiewicz użył też zwrotu „Podkomo-
rno ścisnął za kolana”. Czy to jed-
nak byłby rezon, aby np. puszkiniow-
skie „k jeja nogam upał Jewgenij”
przetłumaczyć ewentualnie „Tati-
nie ścisnął za kolana”? Ja, według
Zb. „**kładę sztuczną tamę między o-
partym na subiektywnym wyczuciu
„językiem współczesnym” (od kiedy
do kiedy?), a całym zaplecem kultu-
ry — literaturą narodową**... Powta-
rzam: dajmy i temu pokój, bo w
tym miejscu już się i przysłowiowy
koń śmieje... Po co tu mówić o ta-
mach, zaplecach, subiektywnych
wyczuciach i — nielaktownie — po-
woływać się na tradycję literatury
narodowej, gdy pisze się nieprawdo-
mówną, bo wygodnie spreparowaną
relację o przekładzie, co aż się roi od

wykroczeń przeciw owemu zapleczu
i tradycji, przeciw czystości języka
i dobremu gustowi, przeciw samej
istocie poezji i wspaniałościom pus-
kiniowskiego stylu? Po co operować
ogólnikami i sprytnie obmyślanymi
formułami w rodzaju:

„Poważną wadą całej dyskusji by-
ło rozbić a nawet pominięcie naj-
istotniejszych zagadnień (wiersność
ideologiczna, wiersność w stosunku
do realizmu puszkiniowskiego, ideol-
ogiczna interpretacja stylu poetyck-
ego), co doprowadziło do drobiazgo-
wego, przesadnie wyabstrahowane-
go filologiiemu” — po co to, zapytu-
ję, gdy prawda fakty, wydru-
kowane czarne na białym strofy,
zdania, frazy, zwroty, wyrazy i wy-
rażenia w nieprzeliczonym mnoświe
wypadków krzyżują wniebogłosy o
czym innym — przede wszystkim o
niemierności w stosunku do puski-
niowskiego realizmu. I jakaż może
być „wiersność ideologiczna” i „ide-
ologiczna interpretacja stylu poetyc-
kiego”, jeżeli ten styl w setkach
miejsc wypaczono, na głowie posta-
wiono, za włosy wyciągano a nie
wyciągnięto? W przekładzie utworu
poetyckiego nie ma i nie może być
wiersności ideologicznej, jeżeli zlekce-
ważono w nim i zniekształcono
wszystkie nieomal cechy artystyczne.
W poezji są to zjawiska nieod-
łączne.

Jeżeli o powiewnej, feerycznej,
zwinnej, nymfami otoczonej, gusła-
mi smyczka urzeczony primabaleri-
nie istotnie pisze Puszkini:

Odnoy nogoy kasajaś pola,
Drugoy miedlenno krużi —

tłumacz zaś:

Na jednej stopie **ciężar ciała**,
Drugą w okolicy wprawia ruch —

— to się te strofe, wraz z czaradziej-
ską tancerką i stylem Puszkina ży-
wem grzebie, i żadnymi teoriami,
żadnym frazesem o „wiersności
w stosunku do realizmu puszkiniow-
skiego” nie wskrzesi. A takich po-
gzebanych strof i piękności w no-
wym przekładzie „Oniegina” sta-
nowczo za dużo.

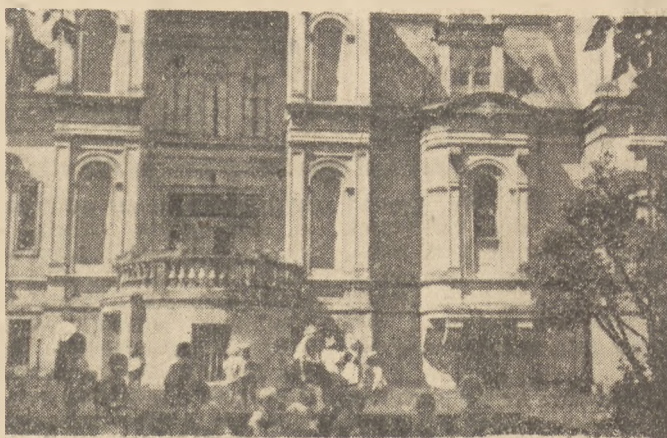
Dla nieznanych mi powodów Zb.
nie dosłyszał w moim referacie opo-
wieści o tych grabach lub, powęd-
zmy, „kurhankach”... Dosłyszał nato-
miast, i czytelnikom „Nowej Kultu-
ry” powtórzył, że zakwestionowałem
zwrot „nie bywa śród nas przyjaźń
szczerą”...

Taka specyficzna, ad usum Del-
phini (?) poczyniona selekcja cytat
i przykładów, upowajnia mnie do na-
zwania tej relacji, mówiąc łagod-
nie, cukrowaną. A gdy kto woli —
lukrowaną. Bo z ostrej, rzetelnej,
oficje udokumentowanej krytyki, z
celnej w dziesiętności procent-
tach kanonady ciężkich i zasadni-
czych zarzutów — zrobiono sobie
(ale nie muzeum) sielanek, tu i ów-
dzie pochwalnym hymnikiem czy
peanikiem podkraszoną. Nie jest to,
że użyję międzynarodowego terminu
sportowego, „fair play”...

Julian Tuwim

STEFAN KOZICKI

Do Tadeusza dyrektora PGR-u



fat. S. Kozicki

Przedszkole w pałacu

Kłórdy stąd do Konina?
Zapytany nie odpowiada
od razu. Przystaje, uważnym
spojrzeniem obiega postać
pytającego — od szerokiej
„miastowej” czapki z samo-
działu, przez kurtkę pseudo
myśliwską aż po specjalnie konserwo-
wane na „wyjazdy w teren” oficer-
ki — i dopiero, wolno cedząc sło-
wo po słowie:

— A pan — to pewnie do — **dwor-
tu**?

— Tak, to jest nie, właściwie —
do Pegeeru.

Podniósł rękę poziomo jak drogo-
wskaz.

— Za tamtymi drzewami, na pra-
wo. A jak pan do pałacu chce, bę-
dzie najlepiej steczką koło lasu, po-
tem tuż przy kapliczce na prawo,
tam tylko przez białą **pańską bramę**
— i już.

— Czy dyrektor Tarkowski miesz-
ka w pałacu?

— Mieszka.

Długie milczenie i nagle, nie wie-
dząc dlaczego, pytanie niezbyt do
sytuacji pasujące:

— A jakiz jest ten dyrektor... do-
bry?

— Słuszny człowiek. I dobry. Chy-
ba tak jak sam hrabia Hrabia Łęcki
— ludzki pan. Bywało we żniwa,
koniem na pole poskoczy, pona-
wymyśla, ponapręklina, w gębę
strzeli jednego, drugiego, potem ko-
nia zatnie i do Łwówka Patrzyć, za
parę minut z powrotem. Butelkę z za-
pachy wyciąga, daje — popijcie
sobie za moje zdrowie — powiada.
No, zawsze dyrektor nie to samo.
Nie zwymyśla, ale i wdoki nie po-
stawia — bo i za co? — pensję swo-
ją tylko pobiera, jak każdy.

Kiedy potężne konary drzew sta-
rego, dzikiego parku przerzedziły się
i wyszedłem na sztuczną polankę
wysadzaną ciętymi tutaj, staną-
łem oko w oko z modelem drzewo-
rów Andrio'łgo do „Pana Tadeu-
sza”. Białe dworek, ganek podpar-
ty kolumnami, gdzieś zarzął koń —
zdawało się — tylko patrzeć, a wy-
skoczył galopem na podjazd młody
hrabia, a między kolumnami zatrze-
poco biała sukni Zosi.

Idą przed gankiem jasna smuga
podjeżdżaj dwaj robotnicy. Starzy,
wasci ludzie, ciężko powłócza no-
gami. Mijamy się przed oknami
dworku. Zdejmują czapki. Ukon ni-
ski przed nieznanym panem z
miasta Przypominaj się słowa u-
żywane niedawno: „hrabia — ludz-
ki był pan”...

Zaraz na ganku powitanie. Ser-
deczny pocałunek i „dubeltówki”.
— Ale dzieciaki urosły no, no! — A
co tam w Warszawie słychać?

— Godaliśmy do późnej nocy w po-
koju ozdobionym rogami jeleni, przy

stoł, którego blat podpierał pięknie
rzeźbiony z drzewa, nagusienki ba-
rokowy aniołek, brakowało tylko
portretów przodków.

Po rozmowie wyszedłem do parku.
Noc była chłodna i gwiaździsta.
Szedłem w zupełnej ciszy — tylko
patrzeć. Nagle ciszę przerwał
śmiech. Śmiało się kilkudziesięciu
ludzi różnymi głosami w różnych
tonach.

Skierowałem kroki tam, skąd do-
latywał śmiech. Za kępą olśnyn ob-
szerny bućnek: „Świética”. Lecz
co do licha Okna ciemne?

Otworono mi nie od razu.

— Te, co się spóźniał! Film już
dawno zaczęty. Kultury nie ma u
ciebie za grosz!

II

Widzisz — Tadeuszu... Byłem u
Ciebie w gościnie, i wierzę mi, nie
miałem żadnych reporterskich za-
miarów. Ale będąc między nowymi
ludźmi uważnie ich obserwowałem,
długo rozmawiałem z nimi — aż z
tych obserwacji i rozmów wynikł
problem, który nie dawał mi spo-
koju.

Jak tu pogodzić wzorowy obiekt
rolniczy huczący maszynami i trak-
torami, kino, złobek, bibliotekę —
z relikami w świadomości ludzi,
którzy na tym obiekcie pracują, ze
stereotypami „dwór” i „pan”, prze-
niesionymi bez wielkich zmian w
nową rzeczywistość?

Wyszedłem w pole z aparatem fo-
tograficznym w reku popatrzyłem
sielskie widoczki. Spokółkałem „typo-
wego chłopca”. „Typowy chłop” kie-
dy upewnił się, że to nie nie bę-
dzie kosztowało, pozwolił na foto-
grafie. Ustawiając go pod słońce i
od słońca i tak i siak — gadalem.
On rozgał się również. Nie żalił się.
Nie przeklinał, że gorzej mu się
wiedzie niż dawniej. Referował
dzieje Konina (pracuje tu od lat
kilkudziesięciu) nadzwyczaj sumien-
nie, lecz tylko od strony gospodar-
czej. Zmian społecznych nie do-
strzegali.

— Czy teraz życie lepiej niż
dawniej? — spytałem zaniepokoj-
na.

— Panie, najlepsze lata mego ży-
cia tam miał w niewoli za pierw-
szej wielkiej wojny. Człowiek żąd-
nych zmartwień nie miał, jeśli da-
wali akurat tyle ile trzeba...

— Ot, i zrób tu co z takim proble-
mem!

Pytałem sekretarza Podstawowej
Organizacji Partyniej tu. Najdka.

Siedział w sali przerobionej z daw-
nego pałacowego hallu pod portre-
tem Stalina.

— Tak, starzy starym żyją, wia-
domo. Pracują dobrze, bardzo do-
brze na polu, ale co do pola pracy
społecznej, kultury... Eh! — bezna-
dziejnie machnął ręką. A z młodymi
kłopot. Do miasta rwa. Kto zastąpi
starych — jak wymrą?

Pytałem i ciebie Tadeuszu — pa-
mietaś? W odpowiedzi zaczął
rozcząć przede mną z tym twym
porwijającym zapalem wspaniałe
perspektywy rozwoju życia kultural-
nego, poważne osiągnięcia organiz-
acyjne na tym polu, plany realizo-
wane już lub będące w stadium
realizacji.

W każdym gospodarstwie wcho-
dzącym do zespołu — świetlica.

W każdym gospodarstwie —
przedszkole (już są dwa i to „wzoro-
we w skali wojewódzkiej”, jak mó-
wią urzędowo.)

W każdym gospodarstwie pełna
radiofonizacja.

Centralne boisko sportowe (w bu-
dowie).

W każdym zespole — biblioteka
(ta, która jest, dysponuje przeszło
tysiącem tomów).
Do tego wzorowy zespół drama-
tyczny (obecny chór i 22 osobowa
orkiestra uważane są za najlepsze
w powiecie).

Kiwałem z uznaniem głową, ale
przekonany nie byłem.

III

W następnych dniach pobytu u
ciebie miałem szereg zupełnie od-

miennych spotkań. Na przykład —
według notatnika:

Sobota w południe.

Pogoda była piękna, wyruszyłem
więc raz jeszcze na poszukiwanie
fotograficznych tematów z aparatem
w ręku. Na błotnistej drodze
między domami zamieszkałymi
przez robotników napotkałem idący
mi naprzeciw korowód młodych
dzieci z widłami i grabiami na
ramionach. Wesołe, rozpięwane —
obrazek rodzajowy zupełnie jak ze
złgie lukrowanego filmu. Może wa-
żnie dlatego podniosłem aparat na
wysokość oczu i nastawiłem daleko-
mierz, kiedy przydługie fotoamators-
kie przygotowania przerwał cieniły
dziewięcioletni głos:

— Hej, kolego!

Zamachały rękami w moim kie-
runku, przyspieszyły kroku.

— Kolego, bo widzi kolego, my
nie przygotowane, ubrane do robo-
ty, zrobić, kolego, zdjęcie kiedy in-
dziej, w niedzielę może...

Umówiliśmy się na niedzielę. Po
sumie.

Sobota wieczór.

Poznałem bibliotekarkę opiekują-
cą się tysiącem tomów Skarżyła się,<

ZBIGNIEW SZYMAŃSKI, CHODOWIECKI W GOSPODZIE NADMOTŁAWSKIEJ

Bucha z gospody opar słny,
Okno czerwienią ptonie. Ciemno.
Zapach dębowych beczek z winem,
Kaganek pali się nade mną
I dźwięk flisackiej pieśni płynie
Melodią jakąś swojską, rzewną.
Po ścianach cień ogromny skacze
Flisaków roslých, krępych traczy.

Z kościoła jęk dobiega dzwonu
Na chwilę gasząc śmiech i wrzawę.
W kominku smolne szcapy płoną —
Kucharz już nową wniósł potrawę,
Flisacy kuflom o stół dzwonią,
Pijany traczą zwałł się z ławy.
Ogień się burzy, skwierczy, śpiewa —
Czasem sноп iskier strzeli z drzewa.

Na papier rzucam ręką wprawną
Ciemny, nierówny zarząch swoodów,
Stoły dębowe, które dawno
Stolarz wykonał dla gospody.
Kreśli sylwetki przezbawne
Mnichów brzuchatych, kupców młodych.
Utrwalam ich rubasne gesty
Przy pracy lub wśród gwarnej sjesty.

Piękne jest me rodzinne miasto,
Pełno w nim barw, łagodnych linii,
Jaskrawa bielń śnieżdy wrasta
W drzące powietrze. Górą płynie
Helm ratuszowy. Profil baszty
Zza drzew wychyla się i ginie
Na niebia tle. Uderza zegar
Strząsając białe płatki śniegu.

Po latach znów mi przyszło wrócić
Do miasta mego, ulic krętych.
Słyszę, jak wiatr za oknem nucł
I w żagle zwinných dmie okrętów,
Jak rybak się z szynkarzem kłóci
Za fartuch szarpiąc go pomięty.
Za drzwiami czarne lustro wody
Odhlja cienne światła grodu.

Daleko został Berlin. Znowu
Widzę czerwone domów światła
I wokół dźwięczy polska mowa —
Dla obcych szorstka i nielatwa.
Lecz dla mnie piękna — w niej rozmowy
Prowadził ojciec mój i matka.
Z kościoła głuchy dźwięk dobiega —
Dziesiątą bje stary zegar.

Na marginesie powieści „Jeszcze Polska”

(Dokończenie ze str. 3-ej)

świadczeniami. Odczuł potrzebę i obowiązek mówienia nie tylko o tym, co nam zagraża, lecz i o tym, co naszą rzeczywistość rozwija i buduje. Uczuloną, bolesną wrażliwość defensywną podparły inne przeżycia: oluchy, wiary, entuzjazmu i pełnej solidarności z kierowniczą inicjatywą władzy ludowej. I te nowe przeżycia wzbogaciły tom „Jeszcze Polska” nową treścią i odpowiadającymi jej nowymi środkami wyrazu.

Zdarza się jednak w praktyce literackiej pewien — mniejszy lub szerszy — odstęp między ideologią pisarza a jej realizacją artystyczną. W „Jeszcze Polska” — w porównaniu z „Ostatnimi ogniami” — widzę wyraźnie sygnały dojrzwania ideowego, dowody na to, że Zieliński stawia sobie już świadome nowe zadania, że częściowo umie już im sprostać. Świadomości celów, podporządkowanie naturalistycznej rejestracji faktów i igraszek wyobraźni wyższej zasadzie poznawczej — to droga rozwoju.

Realizacja nie spełnia jeszcze tych wymagań. Wewnętrzna sprzeczność utworu odpowiadają nieokreślonym, nie doprowadzonym do końca procesowi wrastania pisarza w ideologię klasy robotniczej.

Stąd — konkretnie — generalnie Jędlisku jest jeszcze postacią — szkicem, wyobrażającą raczej dobre chęci autora niż pełną tożsamość wewnętrznego przekonania i zdolności wyrazu. Stąd epizodyczność postaci komunistów i szukowanie ich politycznej działalności — nie dość przez autora „widzianej” — inicjatywą towarzysko — romansową. I to także, że autor — czuje się najlepiej, najswobodniej wśród postaci takich, jak Iśa Znamiecka, jak sędzia Masłowicz — wśród inteligentów politycznych, aczkolwiek mających pewne „trudności” do przezwyciężenia — jednym słowem, wśród ludzi idących dobrą drogą, ludzi dzisiejszego — na pewno! — Frontu Narodowego; postaciom tym służy autor najcieplejszą, najbardziej naturalną, zaprawioną sentymentem odmianą swego stylu: jest w nim żart przyjazny, uśmiech współczucia; zalety i wady tych postaci, ich powściągliwość w deklarowaniu się, w patetycznym gestic — zawierają jakieś rysy osobistego autorskiego zwierzenia.

Tytuł „Jeszcze Polska” — ów motyw ideowy mówiący o wierze przetrwania wszystkich kłesk, motyw wysuwający obronność przed bojowe natarcie, znajduje rozwinięcie w historii chłopskiej rodziny Coków. I w niej wyraża się również przedstawiony już przebieg rozwoju ideowego pisarza. Starzy Cokowie, ich dzieje, dzieje Krasnych Gajów — to siła trwania więzi z ziemią rodzinną, nieświadomego, lecz żarliwego patriotyzmu; program romantyczny, idealizujący, pasywny; lecz wnuk Coków, Andrzej. Jest już innym człowiekiem, lepszą wyznaje wiarę; walczy,

Retrospektywny wątek Andrzeja, formalnie zaskakujący, zyskuje inny sens. Gdy się odwołać do nadrzędnej zasady treści: autor spłaca w nim dług wobec pięknych, bohaterkich i twórczych sił ludowych, przygotowujących — w czas wojennej nocy — naszą teraźniejszość; tych sił, których nie mógł dostrzec w dawniejszej gorczy „Dna miski”, wśród niebezpiecznych emigranckich „Ostatnich ogni”. Węć nawet ta dziwna formalnie retrospektywa — to treściowo krok naprzód. W takim — treściowym — ujęciu również i kreacja Michała Jaskółki, świadomego i ofiarnego obywatela Polski Ludowej — kreacja niedostatecznie wmontowana w konstrukcję powieści, lecz urzekająca charakterem, godnością, zdrowym humorem i rozsądkiem — stanowi znaczne osiągnięcie.

Niejednokrotnie w mych uwagach potrąciłem o sprawę niepewnej konstrukcji i zamętu kompozycyjnego w „Jeszcze Polska”. Próbowałem to wyjaśnić niekonsekwencjami postawy ideowej. Czas więc powiedzieć — na przyszłość, na trzeci tom cyklu: jednolitość budowy, przejrzystość kompozycji, harmonia stylu — jednym słowem, doskonałość formy powieściowej — wynika ze świadomej i konsekwentnej postawy ideowej pisarza, która organizuje podległy jej materiał epicki. Zieliński jest na dobrej, choć niełatwej drodze. Im skuteczniej przełamie on własne wewnętrzne konflikty, tym czystsze będzie jego piśarstwo. Zniknie wówczas sporo szumnych jeszcze zabiegów, którymi operuje, by sprzecznym elementem treści i formy nadać pożądaną „powieściowość”. Zniknie epizodyczność i dygresyjność „osobnych” wątków na rzecz zwartej, ciągłej akcji fabularnej, zniknie sztuczne wiązanie postaci systemem ustawicznych „cudownych” spotkań na rzecz logicznego, skonstruowanego prawdopodobieństwa. Świetne nowele i opowiadania, wypełniające nieco pozorną formę powieściową, zamienią się w świetną i prawdziwą powieść.

Mogłoby się wydawać niesprawiedliwością, że wyluskuję ze znakomitej książki jej problemy drażliwe, dyskusyjne i sporne, nie mówiąc o jej urokach, o jej uderzającym i niezwyklej pięknie. Książka jest naprawdę bogata. Gdybym się więc zajął wszystkim, co w niej jest, musiałbym zrezygnować z analizy tych kilku konkretnych spraw, które wybrałem: ich uogólnienie jest, zdaje mi się, nieobojętne dla pisarza o talencie wybitnym i dojrzałym, to znaczy takiego pisarza, którego chwali jego własne dzieło.

Postanowiłem dyskutować z autorem również i dlatego, że znajduję w jego książce niezwykłą, wysoką cenę, jaką opłaca szukanie własnej drogi. Cenę szczerości. Szczere błędy, z którymi się walczy, są mi bliższe i godniejsze szacunku niż nie sprawdzona własnym sumieniem, zapożyczona nieomyślność.

Wilhelm Mach

STANISŁAW WYGODZKI

List z Opola

Wtedy pomyślałem o sytuacji, jaka się oto wytworzyła. W naszym mieszkaniu śpi szpicel! Nie mogłem wzywać niczyjej pomocy, nie mogłem wezwać świadków, aby się przyjrżeli chraplącemu zbirowi — ktoś by chciał temu przyswiaszczyć! Nie mogłem go również wziąć za kark i wyrzucić za drzwi. Wiedziałem do czego jest zdolny po trzeźwemu, a co dopiero wówczas, gdy alkohol zamroczył jego tępy i ograniczony umysł.

Powiedziałem rodzicom, aby położyli się spać, przeszli więc do sąsiedniego pokoju, gdzie spał kilkuletni braciszek, a ja pozostałem w pokoju z chraplącym szpicielem, aby czuć nad jego snem! Sytuacja niecodzienna i niezwykła. Pamiętam, że kłamałem na czym świat stoi i od czasu do czasu spoglądałem w stronę zwalistego cielska. „Dziobaty” trzymał ciągle w garści kartkę, która rzekomo pochodziła od mego brata.

Dochodziła już pierwsza, gdy „Dziobaty” przebudził się. Uniósł ciężko głowę, machinalnie przysunął tęskną bliżej siebie i zacerwienionymi, nierozumiejącymi śpiami rozglądał się wokoło. Przyglądał się obcemu mieszkaniu i mojej osobie. Szybko jednak oprzytomniał, wstał, wyprostował się i epoi-rzawszy na kartkę trzymaną w ręce przypomniał sobie widocznie, po co znalazł się w naszym mieszkaniu, bo powiedział:

*

Był w naszym mieście, położonym w zagłębiu węglowym, szpicel o przezwisku „Dziobaty” dla dziobów szpecących i tak niepiękną oblicze tego opasłego i znanego z okrucieństwa osobnika. Otóż latem 1930 roku ten właśnie szpicel doręczył nam list, o którym wspominałem wyżej.

„Dziobaty” zjawił się w naszym mieszkaniu o późnej nocnej godzinie i jego ukazanie się nasunęło mi myśl, że znów przyszedł po mnie. Nie mogło być inaczej: młodszy mój brat był za granicą, najmłodszy liczył sześć lat. Moje przypuszczenie było uzasadnione również tym, że nie zanosiło się na rewizję: w czasie rewizji było zazwyczaj kilku osobników — paru szpicli i paru policjantów.

„Dziobaty” wkroczył do mieszkania, rozejrzał się swoim zwyczajem podejrzliwie po wszystkich kątach, a ujrawszy rodziców powiedział głośno:

— Przyniosłem wam coś ciekawego.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej jakąś kartkę. Obserwował nas bacznie, a widząc zdziwienie na twarzach obecnych, dodał:

— List od młodszego syna.

Mnie wydawało się ciągle, że szpicel używa podstępów, że przyszedł, aby mnie ze sobą zabrać, tylko dla sobie wiadomych celów opowiada jakąś historię z listem. Tymczasem matka wyciągnęła dłoń po kartkę. „Dziobaty” uniósł ostrzegawczo rękę i rzekł:

— Pcwoli, powoli, nie tak przed-

ko. Znow się rozejrzał, przysunął sobie krzesło i rozparł się swobodnie, opierając ramiona o stół. Obok siebie ułożył pekata tęskkę.

I nagle zaświtała mi myśl: pewnie przejął list pisany przez brata.

Mój brat przebywał od dłuższego czasu na Śląsku Opolskim, skąd otrzymywaliśmy od niego — dość rzadko — listy; teraz stało się jasne, że szpicel istotnie przechwycił taki list. Mogłem się domyślić, po co go przejął, ale na próżno usiłowałem rozwiązać zagadkowe odwieczyny: po co przyszedł do nas z tym listem? Byłem pewny, że „Dziobaty” zna jego treść. Widocznie jednak nasunęła ona szpicelowi jakieś podejrzenia, skoro postanowił pokazać się u nas i mówić o tej sprawie.

Tymczasem „Dziobaty” siedział przy stole, a my przyglądaliśmy się milcząco zniecierpliwionemu osobnikowi, który wielokrotnie dawał się nam we znaki: często wpadał do mieszkania o różnych porach dnia i nocy, i opuszczał je zabierając ze sobą mnie lub brata, którego list trzymał właśnie w garści.

Godzina stawała się coraz późniejsza, a szpicel siedział przy stole, niewiele sobie robiąc z naszej niemej obecności. W pewnej chwili wstał, nie pytając o nic podszedł do kredensu, stojącego w odległym kącie i począł otwierać powoli jego drzwiczki. Wszedł, zapuszczał wzrok w głąb zakamarków, przesunął z traskiem jakieś szklki, kieliszki, filiżanki. Wreszcie znalazł! W bocznym przedziaku stała butelka z wodką, sięgnął po nią i ująwszy grubym łapskiem kieliszek, wrócił do stołu. Znow się rozparł i przechyliwszy głowę przyglądał się cieczy. Na nie butelki pływająca złością skóreczka cytryny.

Pił powoli, z lubością, w palcach młotosił kartkę, która sprawiła, że raczył nas odpowiedzieć. Powoli zacząłem wierzyć, że ta właśnie kartka posłużyła mu za pretekst, aby wpaść do naszego mieszkania, w którym spodziewał się znaleźć trochę wódki. Wolno mu było tak czynić. Był władcą.

Matka przyglądała mi się ze smutkiem, przeczuwała najgorsze: niejednokrotnie już widziała, jak się takie wizyty kończyły.

„Dziobaty” opróżnił powoli butelkę i im więcej pił, tym rześniej przycisnął do siebie tęskkę. Przez jakiś czas szpicel kiwał się i chwiał, wreszcie zapadł w sen. Gdy pływająca głowa opadła, szpicel właśnie na tęskkę,

nie obowiązków” polegało na przeszkaniu szafy, odkryciu butelki z wódką i wypiciu jej zawartości!

— Nie zabrałem pistoletu — odpowiedziałem. — Niech pan dobrze poszuka.

„Dziobaty” pomacał się jeszcze raz po kieszeniach i zaprzeczwszy sobie, czy mojemu twierdzeniu, powiedział:

— Nie ma. Pan go ukradł, proszę ze mna.

Ruszył ku drzwiom, oglądając się, czy idę za nim. Nie było rady, musiałem pójść, lecz wtedy właśnie, gdy podchodziłem ku drzwiom, przystanął raptem, odemknął tęskkę i zajął do jej wnętrza.

— Jest!

Pozostałem i pomyślałem sobie: niech sam szuka dozorcę, niech błądzi; paliem z lubością papierosa, wreszcie sięgnąłem po spoczywającą na stole kartkę. Była niewielka, nie większa od połowy kartki wyrwanej ze zwykłego zeszytu szkolnego, poliniowana niebieskimi kreskami i zaopatrzona nadrukiem powiadającym, że pisano ją w więzieniu w Opolu. Była niepozorna, ale i niezwykła zarazem, był to list rzeczywiście pisany przez mego brata! Pisał go w więzieniu w Opolu. Koperta była niepotrzebna; kartka była złożona w taki sposób, że określone miejsce wypełniały adresy odbiorcy i wysyłającego. Nie

ce niebezpieczeństwo, na jakie się naraża, ale nie chciała o niczym słyszeć. Nie widziała swego młodszego syna parę lat: najpierw siedział w więzieniu w Koronowie, potem przebywał w Gdańsku, następnie w Berlinie, a obecnie znalazł się w Opolu. Na upór matkę niewiele poradziła! Postanowiła przejść granicę w okolicy Bytomia i to nie eama. Powiedziała: zabiorę najmłodszego syna, już był na widzeniu w więzieniu polekim, niech teraz pójdzie na widzenie do więzienia niemieckiego. Nie szkodzi — w kapitalizmie trzeba się przyzwyczajać do więzień.

Przedsięwzięcie było więc nader ryzykowne: przejść nielegalnie granicę z kilkuletnim dzieckiem, to nie było co!

Nie pamiętam już dziś szczegółów, ale wiem, że matce udało się przejść i wrócić. Po prostu przekupiła sanacyjnego i pruskiego strażnika, zjawiając się u władz wydających przepustki do więzienia. Uzyskała zezwolenie i widzenie odbyło się w Opolu. Było ono krótkie, cała uwaga rozmawiających skupiła się na osobie najmłodszego brata, o którym myślił do tej pory z ogromnym rozczuleniem. Jeszcze wcześniej, zanim nastąpiło wyderzenie, które tu opisuję, przedchodząc w asyście policji koło domu, w którym mieszkali rodzice. Policjanci odprowadzali mnie z sądu do więzienia i trochę chiał, że mój mały braciszek stał na balkonie pierwszego piętra, a ujrawszy mnie na ulicy krzyknął po prostu: „Chodź do domu”. Uśmiechnąłem się i zdążyłem jeszcze odwrócić głowę, aby spojrzeć na małeństwo. Rzecz jasna, nie mogłem spełnić jego prośby. Do domu wróciłem po kilku latach.

Wróciwszy z Opola matka opowiedziała nam, że sytuacja brata jest fatalna: został uwięziony za działalność komunistyczną i władze pruskie zamierzają wydać go władzom sanacyjnym. Wszystko to miało się odbyć w tajemnicy i w ciszy. Władcy z tej i tamtej strony granicy, występujący solidarnie przeciwko proletariatu, nie chcieli sprawie tej nadać rozgłosu, bo- wiem okazałoby się, że współpracują ze sobą ściśle wówczas, gdy chodzi o zwalczanie ruchu wyzwolenie- czego proletariatu, natomiast głośno na siebie ujadają, gdy chcą poróżnić między sobą lud pracujący.

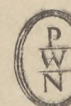
Gdy matka to opowiadała, pojąłem słowa „Dziobatego” wypowiedziane tamtego wieczoru. On już wiedział, że brat ma być wydany władzom sanacyjnym i stąd to rozpewnienie, że już nie napisze z więzienia w Opolu, natomiast napisze z Wronki!

Nie wiem do dnia dzisiejszego a pragnąlbym wiedzieć, który z towarzyszy dał znać kierownictwu Komunistycznej Partii Niemiec w Berlinie, bo oto towarzysze Ernest Thälmann, wódz niemieckiego proletariatu i przewodniczący Poselskiej Frakcji Komunistycznej w Reichstagu zgłosił interpelację, żądając natychmiastowego wypuszczenia „na wolność” polskiego komunisty, którego reakcja niemiecka chce wydać reakcji polskiej. I wtedy sora wa nabrała rozgłosu. Masy pracujące dowiedziały się o tajnej współpracy pruskiej policji z policją Pilsudskiego, podniosła się wrzawa i któregoś dnia nadszedł do brata nowy list. Nadszedł tym razem w kopercie i nie był piany na poliniowanym więziennym papierze. Brat pisał z pokładu radzieckiego statku, którym płynął do Leningradu. W ten sposób — dzięki Ernestowi Thälmannowi i pomocy towarzyszy z Opolszczyzny — brat mój uzyskał wolność! Międzynarodowa solidarność robotnicza ponownie odniosła triumf.

*

Napisałem to wspomnienie po pobycie w „rodzinnym” mieście Opolu. Po ulicach tego miasta krążył mój brat, moja matka i najmłodszy jej syn, teraz ja tu przybyłem i wcale nie żałuję, że widziałem Opole nie w krasie zieleni i kwitnących kwiatów, tylko w silnej mglicie ciemliwego, mroźnego deszczu. Zawarłem tu przyjaźnię i koleżeństwo, będę tu wracał, ale inaczej aniżeli do miast które się widziało, zapamiętało i pokochało. Po Opole to jednak coś więcej: to przecież w serdecznym umiłowaniu rodzinne miasto.

Stanisław Wygodzki



ZESZYTY JĘZYKOZNAWCZE
I
Z ZAGADNIEN JĘZYKOZNAW-
STWA OGÓLNEGO

Zbiór artykułów
z czasopiśmiennictwa radzieckiego
str. 103 cena zł 11,—

PAŃSTWOWE
WYDAWNICTWO NAUKOWE
K 12731-1



rys. F. Starowieyski

pamiętam już dziś dokładnie daty wysłania listu, musiało to jednak być latem, bo pamiętam, że w chwili gdy „Dziobaty” kazał mi pójść ze sobą, nie pomyślałem o zabraniu płaszcza.

Mój brat donosił w bardzo oszczędných słowach, że znajduje się w więzieniu, jest zdrow i prosi, aby mu opisać.

Wspomniałem już o tym, że brat pisywał do domu od czasu do czasu. Od kilku miesięcy przebywał na Śląsku Opolskim, blisko granicy, ale ilekroć pisał, tyle razy podawał wciąż nowy adres. Listy nadechodzący do nas z różnych miejscowości, których nazw dziś już nie pamiętam, koperta za każdym razem zawierała inny adres i inne nazwisko, i na te adresy odpisywaliśmy. Listy doręczano bratu, otrzymywał je, świadczył o tym jego odpowiedź kierowane do nas.

Ale zarówno mój brat jak i my nie bez obaw pisywaliśmy do siebie. Nasze adresy mogły z tej strony granicy naprowadzić na nasz dom policję sanacyjną, z tamtej strony granicy, na przyjaciół mego brata, policję niemiecką. Sądząc po częstych a licznych zmianach miejsca zamieszkania mój brat musiał nieustannie przemierzać ziemię opolską, wyjaśniając zamieszkał tu od wieków Polakom sens toczącą się walki politycznej. Z obu stron granicy wzrastały w owym czasie nastroje szowinistyczne, wzmagali się nacjonalizm, potęgowała nienawiść polityczna z jednej strony przez reakcję niemiecką, z drugiej przez reakcję polską. Władcy z tej i tamtej strony granicy szczuili przeciwko sobie masy robotnicze, ale sami ubijali między sobą potężne interesy, knując wspólnie przeciwko Związkowi Radzieckemu.

Zadaniem komunistów polskich i niemieckich było wyjaśnianie klasie robotniczej obu narodów, że interesy mas pracujących są sprzeczne z interesami kapitalistów; klasa robotnicza — tłumaczyli — powinna ująć władzę w swoje ręce, by przeszkodzić fabrykantom, bankierom i obszarnikom w ich niecnym dziele pokłócenia robotników niemieckich z robotnikami polskimi, i Polaków z tej strony granicy z Polakami z tamtej strony granicy.

I dlatego mój brat znalazł się w więzieniu w Opolu. Przyglądał się niemieckim, baronowie węglowi, właścicielem hut nie mogli przyglądać się spokojnie, jak polski komunist wyjaśnia Polakom żyjącym od wieków na Opolszczyźnie, co czego zmierzają burżuazja i do czego dążą komuniści, nawołujący do solidarności międzynarodowej, wszystkich ludzi pracy.

Po tym liście nasza matka postanowiła przejść granicę i uzyskać widzenie z bratem. Wyjaśniałem mat-

„Nie mogę opuścić kraju”

Na ateńskim rynku chudy 44-letni mężczyzna przemawiał z zapalem do obywateli. To Demostenes wygłaszał czwartą filipikę.

Na północy młdrzec z uśmiechem żegnał swego królewskiego ucznia. Po trzech latach nauki 16-letni Aleksander opuszczał mistrza.

Wbrew szlachetnym wysiłkom Demostenesa za dwa lata czekała Grecję Chereonea. Za cztery lata wychowanek Arystotelesa miał zasiąść na tronie ojca, by po dwóch latach panowania ponieść sławę hellenistycznej kultury aż nad brzegi Indusu.

Był rok 340 przed naszą erą. W tym czasie w mieście In, stolicy państwa Cz'u w dalekich Chinach wielmoża dworski wydawał wspaniałą ucztę. Goście uroczystości składali gospodarzowi życzenia i symboliczny dar — pomalowane na czerwono jajka. Staremu arystokracie urodził się syn — Cz'u Juan.

Chińskim obyczajem goście wraz z życzeniami wypowiadali prorocтва dotyczące noworodka.

Ten chłopiec będzie mądry — mówili jedni. Będzie bogaty — twierdzili inni. Osiągnie najwyższe zaszczyty...

Któż mógł wątpić, że prorocтва te się sprawdzą. Przed chłopcem stały otworem wszystkie możliwości.

Staranne wychowanie dworskie udostępnić mu miało całość wiedzy epoki. Arystokratyczne pochodzenie przesądzało wspaniałą karierę dworską. Wśród rozkosznych pałaców południowej stolicy, wśród gajów wiśni i mandarynek mogło upływać jego życie. Przyszedł jednak moment, gdy Cz'u Juan zdecydował inaczej...

*

Czasy były niespokojne. Od wielu wieków Chiny podzielone były na wiele królestw. Po okresie względnej równowagi sił i względnego spokoju rozpalala się coraz ostrzejsza walka o hegemonię. Wojny wewnętrzne toczyły się prawie bez przerwy. Następowaly głębokie przemiany w gospodarce kraju. Rosła wielka własność ziemiska, rozwijał się handel, coraz powszechniej wychodził w życie pieniądz, złoto, srebro. Nowe siły gospodarcze rozsadały istniejące ramy organizacji państwowej. Chiny szły do zjednoczenia.

Za życia Cz'u Juana 7 królestw występowało na arenie politycznej. Wśród nich jedno — najbardziej na zachodzie leżące państwo C'in — coraz wyraźniej dążyło do zjednoczenia kraju drogą podboju zbrojnego. Pozostałe sześć, wśród których znajdowała się potężna niegdyś, lecz chyląca się ku upadkowi, ojczyzna Cz'u Juana — Cz'u — broniły swego partykularnego statutu. Wśród najlepszych obywateli tych państw panowało co prawda również dążenie do zjednoczenia kraju — ale do zjednoczenia drogą sojuszków, do stworzenia federacji, która umożliwiłaby wszystkie korzyści gospodarcze płynące z jednności, a równocześnie była dosyć silna, by przeciwstawić się agresywnej polityce C'in i zachować niezależność. Do tej grupy ludzi należał Cz'u Juan.



Chłop ze wsi Nan-Huezn

Połączone siły sześciu królestw były dużo większe od sił C'in. Ale krótkowzroczność, egoizm i ambicja ich zdegenerowanych władców stanęły na przeszkodzie zrealizowaniu idei federacji. Konflikt między koniecznym procesem historycznym prowadzącym do zjednoczenia Chin i to zjednoczenia, które, jak się wydaje, w ówczesnych warunkach możliwe było jedynie na drodze użycia zbrojnej przemocy przez najsilniejsze militarne państwo — a szlachetnym patriotyzmem, umiłowaniem wolności i nienawiścią do tyranii zdobywców, cechującymi Cz'u Juana, sprawił, iż życie jego stało się tragedią.

*

Czterdzieści lat kariera Cz'u Juana rozwijała się zgodnie z przewidywaniami gości, którzy o jego słonecznego dnia 340 r. dzielił radość jego ojca. Obdarzony nieprzeciętnymi zdolnościami młodziemiec opanował całokształt wiedzy swojej epoki. Pasjonowały go zagadnienia przyrodnicze i filozoficzne. Wkuwał nowe drogi poezji. Stał się ministrem i cenionym doradcą swego króla. Otaczała go wspaniała przyroda doliny Jangtsekiangu i wszystkie rozkosze pysznego południowego dworu. Cz'u Juan korzystał ze wszystkich dóbr, jakie zapewniało mu urodzenie. Ale potrafił się oprzeć rozkładowym wpływom swego zepsutego, zdegenerowanego środowiska.

„Nie zwiodły go pokusy tego świata i wśród brudów pozostał nieskalany. Kierowały nim najwznioślejsze ideały: godzien jest, by przetrwał go do gwiazd niebieskich przesiągniętych się nawzajem swym blaskiem” — pisze wielki historyk chiński Ssema Tsien.

Myślą przewodnią polityki Cz'u Juana było przeciwstawienie się agresji C'in i zlikwidowa-

nie rujnujących kraj wojen wewnętrznych drogą sojuszków z innymi państwami, w szczególności z państwem Ci. Jego program polityczny dałby się streścić w hasło — na drodze pokojowej stworzyć wielką jedność gospodarczą, w której poszczególne elementy zachowałyby swą wolność, niepodległość i kulturę. Broniąc niezależności politycznej swej ojczyzny, cierpiał widząc los uciśnianych warstw społecznych wewnątrz kraju.

„Długo wzdychałem i roniłem łzy, widząc lud mój uginający się pod ciężarem krzywd i obaw” — pisze w jednym ze swoich utworów.

W świecie rządzonym przez samolubów i intrygantów, w świecie, którego władcy staczali się coraz głębiej na drodze całkowitego rozkładu moralnego, w świecie w którym coraz niżej upadła myśl polityczna — ideologia Cz'u Juana wypływająca z najbardziej postępowych, wyprzedzających epokę poglądów, musiała ponieść klęskę. Śmiało, nieustraszenie broniąc swych poglądów Cz'u Juan popadł w niełaszkę. I tu znów wystąpiło olbrzymie przywiązanie Cz'u Juana do kraju rodzinnego. Większość ówczesnych ministrów uważało się za „fachowców od rządzenia”. Gdy odrzucił ich jeden władca, bez skrupułów zaofiarowywali swoje usługi innemu. Więcej nawet. Obyczaj ówczesny nakazywał odrzuceniu doradcy, by udał się na wygnanie. Pozostawanie opozycjonisty w kraju mogło się stać niebezpieczne dla władcy.

Cz'u Juan nie udał się na wygnanie. Odsunięty od dworu przeżył ponad dwadzieścia lat w osamotnieniu. „Nie mogę opuścić kraju” — pisał w poemacie „Złotkane myśli”.

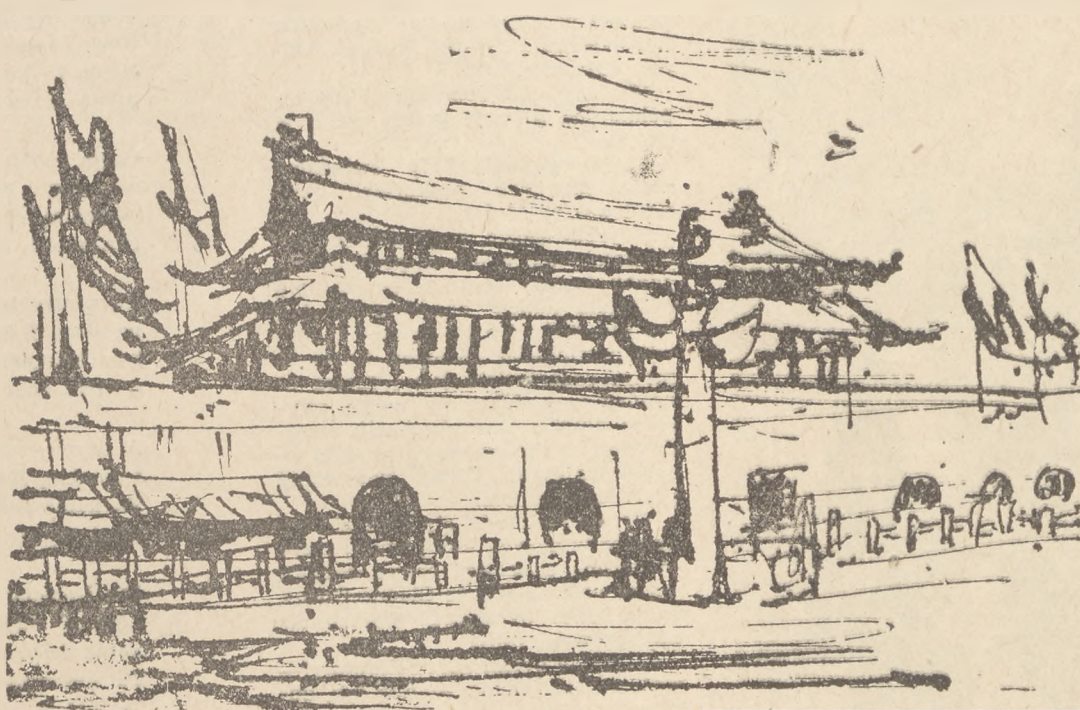
Gdy w 278 r. c. chiński generał Pai Ci rozbił wojska Cz'u i złupił stolicę państwa — gdy ukazała się w całej wyrazistości perspektywa zagłady Cz'u — przed którą tylekroć przestrzegał Cz'u Juan — wielki patriota popełnił samobójstwo, topiąc się w rzecze Milo w dzisiejszej prowincji Hunen. Ale nawet i ten akt był ukoronowaniem jego wieloletniej nieugiętej walki. W myśl ówczesnych obyczajów i przekonań chińskich samobójstwo takie było ostatecznym dostępnym dla odrzuconego przez władzę polityka aktem protestu.

*

Okres po klęsce politycznej Cz'u Juana jest okresem najwspanialszego rozwoju jego talentu poetyckiego. Widział on nieuchronnie zbliżającą się zagładę ojczyzny, i cały swój gniew i rozpacz przełał w wiersze, które można bez wątpienia zaliczyć do najwspanialszych dzieł literatury światowej. Twórczość jego była nierozłącznie związana z rozgrywanymi się wypadkami politycznymi, wpływała bezpośrednio na zagadnienia otaczającego go życia, wyrażała ostry protest przeciwko istnjącemu układowi stosunków i stanowiła odbicie wszystkich sprzeczności rozdzierających ówczesne społeczeństwo chińskie. Jest to jeden z elementów, które stanowią o jej nieprzemijającej wartości. Poeta nie ograniczał się jednak tylko do tematyki politycznej. Zagadnienia przyrodnicze, astronomiczne i filozoficzne, wszystkie problemy będące ośrodkiem zainteresowania ówczesnych uczonych znajdują odbicie w jego twórczości. Należy przy tym podkreślić, że traktował on te zagadnienia z płaszczyzny materialistycznej. Obdarzony olbrzymią wyobraźnią poetyką Cz'u Juan zapełnił swe utwory postaciami bogów, duchów i mitologicznych zwierząt. „Wiatr, deszcz, piorun i błyskawice, chmury i księżyc stają się jego giermkami i wojownikami. Feniks i smok ciągną jego wóz bojowy. Galopuje on w przestworzach i dosięga bram nieba, to znów opuszcza się z dachu świata i wędruje do najgłębszych otchłani ziemi” — pisze Kuo Mo-żo. Ale gdy wykazuje on niezwykle go omówienia zjawisk wykazuje on niezwykle sceptyczny i lekceważący stosunek do wszelkich zjawisk „nadprzyrodzonych”. Interesuje go tylko materialna rzeczywistość — przyroda. I to przyroda, która, jak nieraz podkreśla, może i powinna być nagięta dla celów człowieka.

Tę rewolucyjną, jak na owe czasy, treść utworów obłąkił Cz'u Juan w niemniej rewolucyjną formę. Za jego czasów wiersze pisane były starym, niezrozumiałym dla mas ludowych, językiem. Istniała zupełnie sztywna wersyfikacja ustalona jeszcze w najstarszej znanej nam księdze chińskiej — wchodzącą do kanonu konfucjańskiego zbiorze — Szy Cing. Wszystkie wiersze utworów były równe i musiały składać się z 4 sylab. Cz'u Juan zerwał z obiema tymi zaważkami — co obok licznych wrogów politycznych przyczyniło mu również wielu wrogów literackich. Wprowadził do swych utworów język ludowy, powszechnie wówczas używany i zrozumiały dla wszystkich niezależnie od ich stopnia wykształcenia. Wprowadził jednocześnie nową wersyfikację — wiersze pięcio i siedmiogłoskowe — przy czym w jednym utworze używał wierszy różnej długości. Formę tę zaczerpnął Cz'u Juan z poezji ludowej. Już ona sama, nie mówiąc o bezpośrednich wypowiedziach Cz'u Juana świadczą o tym, jak bliski czuł się poeta masom ludowym. Jest to drugi czynnik stanowiący o nieśmiertelności jego dzieł. „Jakkolwiek żył

Rysował TADEUSZ KULISIEWICZ



Pałac Tiań-Ań-Meń w Pekinie

on przed dwoma tysiącami lat i język jego poważnie różni się od dzisiaj używanego, wciąż jeszcze mogą nas wzruszać jego utwory przetrzymane na język współczesny lub język obce” — pisze Kuo Mo-żo.

Spuścizna literacka Cz'u Juana, która dochowała się do naszych czasów, nie jest wielka. Przypisuje mu się 25 utworów, przy czym autentyczność niektórych jest przez różnych badaczy kwestionowana. Spośród dzieł Cz'u Juana do najwspanialszych należą „Elegie samotnika”, „Pytania ku niebu”, „Wolanie duszy”, „Li Sao — poemat żalów”, „9 pieśni”. Szczególnie pięknym poematem jest „Li Sao”. „Pytania ku niebu” są niezmiernie ciekawe jako najpełniejsze odbicie naukowych zainteresowań autora. Nawet ten niewielki stosunkowo dorobek artystyczny wywarł olbrzymi wpływ na cały dalszy rozwój literatury chińskiej, gdyż, jak stwierdza Kuo Mo-żo: „zastąpił on napisaną martwym językiem literaturę arystokracji żywą sztuką poetycką”.

Toteż nie dziwnego, że od II w. p. n. e. aż do czasów współczesnych ciągnie się długa lista najwybitniejszych poetów Chin, dla których dzieła Cz'u Juana były jednym z podręczników, i którzy w różnych utworach opiewali swego wielkiego poprzednika.

Ale nie tylko wąski krąg poetów cenił dorobek Cz'u Juana. Najszerze masy ludu chińskiego zachowały w pamięci swego wielkiego przyjaciela i meża niezłomnej sprawiedliwości. Osoba jego urosła prawie do postaci półboga. Dziś jeszcze w rocznicę jego śmierci w każdym domu chińskim spożywa się specjalne placki z ryżu zawiniane w liście. Kilka placków zostaje wrzuconych do rzeki. Według jednego podania mają one służyć do karmienia smoków i węży, aby uchronić w ten sposób ciało utopionego Cz'u Juana przed pożarciem. Według innych wierzeń — jest to pożywienie dla Cz'u Juana, zawinięte w liście, aby nie zostało zjedzone przez ryby. Tradycja ta stała się powszechna nie tylko w kraju rodzinnym Cz'u Juana i w całych Chinach, ale i w innych krajach Azji znajdujących się w orbicie wpływów kultury chińskiej — w Korei, Japonii, Wietnamie i na Malajach. Żaden prawie poeta — obok Wergiliusza w europejskim średniowieczu — nie dostąpił zaszczytu tak powszechnej, ogólnoludowej, trwającej przez wieki czci. Ale podczas gdy szacunek dla Wergiliusza był połączonym z obawą, kultem potężnego maga zdolnego otworzyć przed zwykłym śmiertelnikiem wrota niebios i piekieł — tradycja ludowa widzi w Cz'u Juanie bliskiego przyjaciela — troskliwego dla ludu i zastępującego na czułą opiekę z jego strony.

*

Ten podwójny nurt szacunku intelektualistów dla jednego z twórców literatury narodowej i czci mas ludowych dla wielkiego patrioty i przyjaciela prostych ludzi znalazł najdoskonalszy wyraz w czasach współczesnych w twórczości Kuo Mo-żo. Wybitny uczyony i poeta nowych Chin poświęcił Cz'u Juanowi zarówno poważne prace naukowe jak i najwspanialszą ze swych tragedii. Sztuka ta, napisana w 1942 r. w ciężkim okresie walki przeciwko agresji imperializmu japońskiego i panoszenia się kuomintangowskiej reakcji, odegrała poważną rolę polityczną. Udratyzowana historia walki wielkiego patrioty ze sprzedajną kamarylą dworską w obliczu groźby najazdu wrogów stała się poważnym narzędziem walki przeciwko reakcji czang-kaiszekowskiej. Popularność osoby Cz'u Juana w masach sprawiła, że drugocząca krytyka reakcyjnych zdrajców przeniesiona ze względu na cenzurę na odległe epoki historyczne stała się zrozumiała i bliska dla każdego widza chińskiego. Tragedia „Cz'u Juan” napisana z olbrzymim talentem i w oparciu o dokładne badania historyczne, jest jednym z najwyższych osiągnięć artystycznych Kuo Mo-żo i współczesnego teatru chińskiego. Jak pięknie powiedział radziecki filolog Fiedorenko: „Nie przypadkiem sztukę o poświęceniu Cz'u Juana napisał Kuo Mo-żo — współczesny chiński poeta - patriota, wybitny, dzielny bojownik o ogólnoludową sprawę pokoju”. Przez usta Kuo Mo-żo wielki obywatel raz jeszcze przemówił do ludu, wskazując mu wrogów i pomagając przy mobilizacji 500-milionowego narodu do walki o wolność. Nic chyba lepiej nie świadczy o wielkości tego, którego słowo brzmia wiecznie żywe z perspektywy 22 stuleci, jak i tego, który potrafił je z tej perspektywy przekazać.

*

Oparta na świadomości tworzonych przesadach rasowych, odradzająca ludy Europy nieprzebytym murem od dorobku kulturalnego kolonizowanych i uciśnianych narodów „polityka kulturalna” burżuazji sprawiła, że osoba i twórczość Cz'u Juana, jak zresztą całokształt dorobku kultury chińskiej, są całkowicie nieznane w szerzej masach naszego społeczeństwa. Tym cenniejsza jest decyzja Światowej Rady Pokoju, która pomaga nam zapoznać się z tym wybitnym synem wielkiego narodu chińskiego — bojownikiem o pokój, wolność i sprawiedliwość sprzed ponad 2000 lat.

Jerzy Lobman

CZU-JUAN

MEDYTACJE

Serce me rozpacz dławii,
nisko mi zwisła głowa,
myśli się poplątały,
a noc jest księżycowa.

Jesienią wszystko wędlnie,
ziemię nienawisć nęka,
książę do gniewu skory,
wielka jest ma udręka.

Doskwiera mi ból ludu
i nie chcę rzucić kraju,
tutaj dla milej — myśli me
w piosenkę się splatają.

Ach, dałaś obletnicę,
że spoikasz mnie o zmierzchu,
nie dotrzymałaś słowa,
oto twoje szalbierstwo.

Ty inną piękność chwalisz,
powaby innej twarzy,
raz dane słowo łamiesz
i złym spojrzaniem darzysz.

Już chciałem się pogodzić,
ale mnie gniew powstrzymał.
Nie śmiałem się przybliżyć.
Radości we mnie nie ma.

Myśl w wierszach wyraziłem,
książę ich słuchać nie chce,
nie ma miejsca dla szczerych cnót,
wszędą wroży prześmiewcy.

Prawdę mówiłem księciu
na próżno od lat tytu,
uczciwą radę chciałem dać,
by potężniejszy wyrósł.

Poszedłem mędrca śladem,
w mądrości szukam szczęścia
i doskonałość to mój cel
i sława mego księcia.

Cnota z serca wypływa,
sława z dobra czynienia,
uznanie rośnie wolno
tak jak owoc z nasienia.

INTERLUDIUM

Tak chcę miłą mą przekonać,
lecz twarde ma serce ona,
inne ją powaby nęca,
ja w jej sercu nie mam miejsca.

CHÓR

Znów od południa ptaszek leci
tam, gdzie północna rzeka świeci,
ptaszek jest pelen wspaniałości,
w bardzo dalekim kraju gości
sam pośród słonecznego nieba,
orędowników mu nie trzeba.
A dla mnie świat ten nielaskawy,
nie wiem, jak wybrnąć z trudnej sprawy,
pagórek słyszy me westchnienia
i lzy wpadają do strumienia.
Krótkie są noce w środku lata,
lecz mnie się rokiem zdaje każda.
Miało ode mnie tak daleko.
Tam, tam marzenia moje błądzą
tylmi wąskimi ścieżynami
wciąż na południe, pod gwiazdami,
wciąż dalej błądzą, lecz na darmo.
dusza znużona troską czarną.
A jednak wytrwam w mej postawie,
nie będę schlebiał tak jak gawiedź.
Nikt mnie nie wyrwie z tych opalów,
mój los obchodzi ludzi mało.

REFREN

Wielka zatoka, mocny prąd,
wędruje na górę rzeki,
wędruje na południe wciąż,
nadziei pelen wielkiej.

Ciężka jest droga pośród skal,
skały sięgają nieba
i ciężko człowiekowi jest,
kiedy się wspinać trzeba.

A gdy nareszcie wstrzymam wzrok,
by zająć się noclegiem,

ciemność mam w sercu, moja myśl
w jakieś bezkresy biegnie.

Marzenia moje niesie wiatr,
smutek mnie dręczy błądzą.
Zakątek taki dziwny tu,
lecz nie mam na to rady.

Myśl moją przemienilem w wiersze,
by wyjść z czarnego cienia,
lecz żaden nie pomaga lek.
Któż słyszy me westchnienia?

Z wersji angielskiej przełożył

K. I. Galczyński

Chińskie wiersze ludowe

POCHWAŁA TORBY Z ULOTKAMI

Wiersze żołnierza armii wyzwoleniczej.

Duża nie jesteś,
Lecz wygląd twój ludzi,
Broni udziwniesz więcej
Niż stu zbrojnych ludzi.

Każde słowo,
Naklejone na ścianie
Z bagnietem do boju stanie,
Z karabinu do wroga praży,
Werbuję do naszych straży
Nowych rekrutów.

Ty jesteś zwykłym woreczkiem parclanym
Lecz gdy otrzyma Czang śmiertelne rany
I z łap wypuści nasze ziemie —
W ten dzień,
Zielona torbo,
Uczymy i ciebie.

ROBOTNIK ROLNY

Wiersz wiejskiego milicjanta z czasów reformy rolnej.

Ja jestem Li Szan,
Robotnik rolny,
Mam osiemnaście lat dopiero,
Gdy mi czternaście lat minęło
Już nie wiedziałem
Gdzie szukać pomocy —
Byłem żebrakiem.

Dziś ostrzej widzą moje oczy
Dziś wiem
Gdzie szukać pomocy.
Dziśaj karabin
W mej ręce,
Dziśaj nie zniósę już wleceją
By obszarzanie zakala
Głodziła chłopów i na żebry stała.

Spolszczył Andrzej Wirt

Claude Gueux

('Dokończenie ze str. 1-iej)

bina na spacerze nie było. Wszyscy wrócili znów do warsztatu. Albin nie zjawił się i w warsztacie. Tak przeszedł dzień. Wieczorem, gdy przeprowadzono więźniów do celi Claude poszukał wzrokiem Albina — na próżno. Nagła troska musiała go przejąć w tym momencie, gdyż zwrócił się do strażnika, czego nigdy dotąd nie robił.

— Czy Albin jest chory? — zapytał.
— Nie — odpowiedział strażnik.
— Czemu więc go nie widać?
— Ach — odparł tamten niedbale — przydzielono go gdzie indziej.

Świadkowie zeznali później, że na tę wiadomość ręka, w której Claude trzymał zapaloną świecę, zadrgała. Spytał jednak spokojnie:

— Kto wydał polecenie?
Strażnik odpowiedział:
— M. D.
Dyrektor warsztatów nazywał się M. D.

Nazajutrz dzień przeszedł jak zwykle. Albina nie było.

Wieczorem, tuż przed zamknięciem warsztatów, dyrektor przyszedł na zwykły przegląd. Claude zobaczył go z daleka, zdjął grubą wełnianą czapkę, zapiał bluzę, smutny więzienny mundur, i stojąc czekał na dyrektora. M. D. zbliżył się.

— Proszę pana — odezwał się Claude.

Dyrektor zatrzymał się i zrobił pół obrotu w jego stronę.

— Proszę pana — zaczął znów Claude — czy to prawda, że Albina przydzielono gdzie indziej?

— Tak — odpowiedział dyrektor.

— Proszę pana — ciągnął Claude — mnie jest ciężko bez Albina. I dodał: — Albin dzielił się ze mną swym chlebem.

— To jego rzecz — odparł dyrektor.

— Proszę pana, czy nie można by Albina przydzielić z powrotem tutaj?

— Niemożliwe. Tak zadecydowano.

— Kto?

— Ja.

— Dla mnie to życie lub śmierć, i to zależy od pana.

— Nigdy nie zmieniam decyzji.

— Czy zrobiłem panu kiedy coś złego?

— Nie.

— Więc czemu zabrał mi pan Albina?

— Bo tak — odrzekł dyrektor.

Udzieliwszy tego wyjaśnienia dyrektor poszedł dalej.

Claude o Albina nie rozmawiał z nikim. W godzinach odpoczynku przechadzał się samotnie i cierpiał głód. Nie więcej. Wielu chciało podzielić się z nim swoim chlebem. Odmówił.

Co wieczór, gdy dyrektor przychodził na przeglad, Claude patrzył nań nieruchomym wzrokiem i rzucał mu tonem prośby i groźby razem tylko te dwa słowa: „A Albin?”

Dyrektor udawał, że nie słyszy, lub wzruszał ramionami i odchodził.

Stwierdzono, że pewnego razu Claude rzekł do dyrektora: — Niech mi pan odda mojego towarzysza, proszę pana. Dobrze pan zrobi, ja ostrzegam.

Innym razem, w niedzielę, gdy od dłuższego czasu siedział nieporuszony podpierając głowę rękami, podszedł doń więzień Failllette i krzyknął ze śmiechem:

— Co ty tu robisz, Claude?

Claude ciężko podniósł głowę i powiedział:

— Sądzę kogoś.

Wreszcie wieczorem, 25 października 1831 roku, w chwili gdy dyrektor kończył swój przegląd, Claude zmiażdżył stopą szkiełko od zegarka, które rano znalazł w korytarzu. Dyrektor spytał, co to za hałas.

— To nic — odparł Claude — to ja. Panie dyrektorze, niech mi pan odda mojego towarzysza.

— Wykluczone — odrzekł dyrektor.

— A jednak trzeba to zrobić — powiedział Claude niskim i zdecydowanym głosem, i patrząc prosto w twarz dyrektora, dodał: — Niech się pan namyśli. Daję panu czas do 4 listopada. Daję panu czas do 4 listopada.



rys. K. Latało

Strażnik zwrócił uwagę panu M. D., że Claude grozi i że za to jest karna cela.

— Nie, nie — odrzekł dyrektor z pogardliwym uśmiechem — z tymi ludźmi trzeba dobierać.

Od 25 października do 4 listopada jest pełne dziewięć dni. Claude nie opuścił żadnego i co dzień zwracał dyrektorowi uwagę, że nieobecność Albina sprawia mu ból coraz większy. Znudzony tym dyrektora kazał go zamknąć na 24 godziny w karnej celi, prośba bowiem podobna była raczej do urzędowego wezwania.

Przyszedł dzień 4 listopada. Claude obudził się pogodny. Wstał, sięgnął do drewnianej skrzynki, która stała przy jego przycy, i wydobyl stamtąd krawieckie nożyczki.

Około południa zeszedł pod jakimś pretekstem na parter do warsztatu stolarzy. Lubili go tam bardzo, choć bywał rzadko.

— Patrzcie! Claude!

Otoczyli go. Śmiali się i cieszyli. Claude rzucił okiem po sali. Nie było strażnika.

— Kto może mi pożyczyć siekiere?

— zapytał.

— A po co ci?

Odpowiedział: — Żeby zabić dyrektora warsztatów.

Dali mu kilka siekier do wyboru. Wybrał najmniejszą, ukrył ją pod bluzą i wyszedł. Więźniów było dwudziestu siedmiu. Nie prosił o tajemnicę. Nikt jej nie zdradził. Każdy czekał, co się stanie. Sprawa była straszliwa, jasna i prosta.

Godzinę później więzień Failllette zaczął Claude'a i spytał, co tam chowa pod bluzą. Claude odrzekł: — To siekiera, dziś wieczór zabiję pana M. D.

I dodał:

— Widać?

— Trochę — rzekł Failllette.

Reszta dnia przeszła jak zwykle. O siódmej wieczór więźniów zamknięto na klucz, strażnicy odeszli, aby powrócić dopiero po obchodzie dyrektora.

Wówczas w warsztacie rozegrała się niezwykła scena. Kiedy strażnicy znikli, Claude wyszedł na lawkę i oświadczył, że chce mówić. Zaległa cisza. Claude zaczął:

— Wicie wszyscy, że Albin był mi bratem. Nie wystarczy mi jedzenie, które tu dostaję. Albin dzielił się ze mną. Przywiązałem się do niego, najpierw dlatego, że mnie żywił, potem dlatego, że on był do mnie przywiązany. Dyrektor nas rozdzielił. Nic mu nie szkodziło, że byliśmy razem. Ale to zły człowiek. On cieszy się, gdy moim dręczycie innych. Prosiłem, aby Albin wrócił. Widzieliście, nie zgodził się. Dalem mu czas do 4 listopada. Wsadził mnie za to do karnej celi. Więc ja go osądziłem i skazałem na śmierć.

— Niemożliwe. Skończcie. Nie mów mi o tym więcej, nudzi mnie. Przyspieszył kroku. Claude także. Znaleźli się przy samym wyjściu. Dwudziestu czterech złodziei słuchało i patrzyło z zapartym tchem.

Claude dotknął lekko ramienia dyrektora.

— Niechże więc przynajmniej do- wiem się, dlaczego skazuje mnie pan na śmierć. Dlaczego pan go ode mnie zabrał.

— Powiedziałem ci już: bo tak.

I odwracając się wyciągnął rękę w stronę klamki od drzwi wyjściowych.

Usłyszawszy odpowiedź dyrektora Claude cofnął się o krok. Dwadzieścia cztery nieruchome posągi ujrzały, jak zza bluzy wynurza się prawa jego dłoń z siekiarą.

—

Gdy Claude odzyskał przytomność leżał w łóżku cały w plastrach i bandażach, otoczony opieką zacnych siostr miłosierdzia oraz sędziego śledczego, który pytał go z troską:

— Jak się pan czuje?

Claude stracił wielką ilość krwi, ale nożyczki, przy pomocy których usiłował pozbać się życia, źle spełniły swe zadanie. Żadna z ran, które sam sobie zadał, nie była niebezpieczna. Śmiertelne były dlań tylko

te rany, które zadał panu M. D.

Rozpoczęły się przesłuchania. Pytano, czy to on zabił dyrektora warsztatów w więzieniu w Clairvaux. Odpowiedział. Pytano dlaczego. Odpowiedział: bo tak.

16 marca 1832 roku zjawił się, zupełnie już zdrowy, przed sądem w Troyes.

Po wyczerpaniu listy świadków zabrał głos pan prokurator Jego Królewskiej Mości:

„Wysoki sądzie, społeczeństwo zachwiałoby się w swych podstawach, gdyby zemsta sprawiedliwości nie dosięgała takich zbrodniarzy, jak ten oto...” itd. Po tej pamiętnej mowie przemawiał adwokat. Zarówno mowa oskarżyciela jak i mowa obrońcy zaprodukowały wedle zwyczaju długi szereg akrobacji, niecodziennie wykonywanych w tym osobliwym cyrku, który nazywamy procesem karnym.

Wreszcie podniósł się Claude. Prokurator w mowie, którą wyżej zacytowałem w całości, ponad wszelką wątpliwość ustalił, że Claude Gueux zamordował dyrektora warsztatów nie spowodowany.

— Ja nie byłem spowodowany! — wykrzyknął Claude. — Ach tak, do- prawdy, słusznie, rozumiem was. Pi- jak wali mnie w twarz, zabijam go, zostałem spowodowany, więc stosujecie wyrok łagodny i posyłacie mnie do więzienia. Ale to człowiek, który nie był pijany, który świadomie przez cztery lata łamał mi serce, przez cztery lata upokarzał mnie, przez cztery lata co dzień, co godzi- na, co minuta dokuczał i szkanowa- wa! Miałem żonę, dla której ukrad- łem; on torturował mnie, opowia- dając, co robi moja żona; miałem dziecko, dla którego ukradłem, on torturował mnie, opowiadając co się dzieje z moim dzieckiem; miałem za mało chleba, przyjaciel dzielił się ze mną; on zabrał mi przyjaciela i chleb. Tróśłem o powrót przyjaciela, on wsadził mnie do karnej celi. Mówi- łem do niego, do tego szpicla, p r o s- z e p a n a, on do mnie: t y. Mówiłem mu, że cierpię, on mówił mi, że go nudzę. Więc co miałem zrobić? Zabielem go. Tak, jestem po- tworem, zabiłem go, nie byłem spro- wokowany, zetnijcie mi głowę. Je- stem gotów.

Po zakończeniu przewodu prze- wodniczący wygłosił swe bezstronne i uczonne przemówienie. Wynikało zeń tyle: oto podłe życie; istotnie po- twór; Claude Gueux żył w konkubi- nacie z dziewczką uliczną, potem u- kradł, potem zabił. To wszystko prawda.

W końcu przewodniczący spytał oskarżonego, czy ma coś do powie- dzenia na temat pytań stawianych w przewodzie.

— Niewiele — odparł Claude Gueux — tylko to: jestem złodzie- jem i mordercą: ukradłem i zabi- łem. Ale dlaczego ukradłem? dlaczego zabiłem? Te dwa pytania po- stawia obok innych, panowie są- dziowie.

Po krótkiej naradzie dwunastu o- bywateli Szampanii, których nazy- wano panami sędziami, zdecydowa- ło: kara śmierci.

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

KAZIMIERZ WINKLER

NOTATKI STAROMIEJSKIE

Słońce jak lustro i na pogodę koń w Rynku parska.
Obok samochód z cementem sapie. No przedź jedźże!
Niebo i chmury odbite w szybach po stronie Barssa
płyną przez siwe w pyłe wapiennym powietrze.

Cegły podaje dźwig — pracowite ramię,
a w górze chłopcy barwną przesyłkę chwytają w locie.
Szumiąca chmurką gołębie krążą ponad dachami.
Dla swoich dzieci kładzie dachówkę murarz - ojciec.

Tu zamieszkała, z wysokich okien zerkną ciekawie
na stary Rynek, co liczy sobie już śladem wieków,
i na kolumnę, którą podróżne znają żurawie,
a która znowu wyrosła w niebo wrogom na przekór.

A tu, na rogu Rynku i Zapiecka, tu będzie poczta
i pomkną listy w świat o radościach naszych i troskach.
Ta kamieniczka z pocztową trąbką, patrz, rośnie w oczach,
tutaj się zwija młoda Brygada Zetempowska.

Jak transparenty witają Święto mury czerwone,
Lipcowe Święto, co przez Warszawę przechodzi pieśnią.
Teraz dzień każdy i noc upływa z pamięcią o nim.
Tu pierwsza linia frontu budowy.
Tu ludzie nie śpią.

Dwie książki Fiedlera

Arkady Fiedler: RIO DE ORO. W-wa, 1952. Nasza Księgarnia, s. 237.
Arkady Fiedler: MAŁY BIZON. W-wa, 1952. Książka i Wiedza, s. 175.

W każdym z nas od wczesnej młodości tkwi żyłka podróżnicza. Źródłem tych marzeń jest twórcze dążenie do zdobycia wiedzy, do poznania spraw jeszcze niezbadanych, do przekształcenia świata.

Dlatego też z prawdziwą przyjemnością witamy każdą nową książkę Arkadego Fiedlera, podróżnika, który rzetelną wiedzę i bystre spojrzenie łączy z dużym talentem narratorskim. Każda nowa książka Fiedlera pozwala nam przenieść się w krainę dziwnych przyrody.

Dotychczasowe jednak książki podróżnicze Fiedlera, takie jak: „Bichos, moi brazylijscy przyjaciele”, „Ryby śpiewają w Ukajali”, „Jutro na Madagaskar” i inne, posiadały jeden wspólny brak: człowiek w tych książkach nie był centrum zainteresowań autora. Autor pokazuje „tubylców”, element folklorystyczny potrzebny jako tło dla takiego czy innego egzotycznego obrazu z życia zwierząt i roślin. Za mało było w tych książkach wiadomości o ludziach, o warunkach życia, o położeniu społecznym.

Dwie ostatnie książki Fiedlera „Rio de Oro” i „Mały Bizon” świadczą o przezwycięzeniu tego ograniczenia i ukazują całą skalę talentu autora. Obydwie powieści mówią o życiu Indian w Południowej Brazylii („Rio de Oro”) oraz na pograniczu Stanów Zjednoczonych i Kanady („Mały Bizon”). „Rio de Oro” — to rezultat przedwojennych jeszcze wędrówek autora po południowej Brazylii. Materiały do „Małego Bizona” zebrał autor po wojnie.

Obydwie książki, aczkolwiek mówiące o życiu Indian na różnych terenach, posiadają wiele cech wspólnych. Wynikają one z podobieństwa sytuacji, w jakiej znajdują się nie- liczne już dziś szczepy Indian południowych i północnych. Potomkowie Azteków i Mayów — twórców wspaniałej starej kultury — i potomkowie bitnych plemion północ- nych, ambitnie i nieugięcie walczą- cych przeciw przeważającej sile bia- łych kolonizatorów — dzielą dziś wspólny los i wspólną niedolę. Po- łudniowi Indianie Koroadzi i resz- ki plemion północnych — spędzone do rezerwatów — żyją pod „opie- ką”, „rządów”, zapewniającą „ope- kunom” kolosalne zyski, a „podo- piecznym” niosącą choroby i wyn- iszczenie.

Obie nowe książki Fiedlera wstrząsają nagą wymową ukazanych faktów i zdarzeń.

„Opiekun” Indian Koroadów w brazylijskim stanie Parana — Fe- reiro — zbija majątek na kradzie- żach. Wszystko zresztą co robi u- zgodnione jest z wyższymi władza- mi, które dbają o to, ażeby opieku- nami Indian byli „swoi ludzie”. Nie- szczęściem Koroadów mieszkają- cych nad rzeką Marenquiną jest złoty piasek znajdujący się na dnie rzeki, przyciągający „ak magnes wszelkiego rodzaju awanturników i obywateli”. Toteż Indianie mu- szą ulec w nierównej walce o tere- ny życiowe, jeśli nie znajdą nowych form walki. Jakież to formy? Mo- wi o nich Fiedler ukazując grupę Indian kierowaną przez wodza — kapitana Ziniao.

Ziniao, który w latach młodości poznał życie miase brazylijskich, miał otwartą głowę i oczy, zrozu- miał, że jedyną bronią Indian prze- ciw narastającemu uciskowi jest za- przymanie koczowniczego trybu ży- cia. Plemiona usuwane z lasów przez białych kolonistów musiły iść na poniewierkę i nędkę do miast albo też zająć się uprawą roli, i to uprawą wspólną, kolektywną. Po- długich dyskusjach i wahanjach Zi- nio stworzył kolektywną gospodar- kę opartą o prymitywny sposób pro- dukcji, w której zyski dzieli się we- dług wkładu pracy. Oczywiście, ten pomysł nie powstał w umyśle In- dian bez przyczyn zewnętrznych. Ziniao stykał się z ruchem robotni- czym Brazylii. W jego grupie znaj- dują się ludzie, którzy byli uczest- nikami walk „Rycerza nadziei” — przywódcy Brazylijskiego ruchu ro- botniczego, Prestesa. Oni to przy-

nieśli ze sobą nowe społeczne pra- dy, oni to pomagają grupie Indian łączyć się we wspólnej pracy i wal- ce. Ziniao, mądry kapitan, rozumie potrzebę nauki, rozumie i docenia znaczenie oręża świadomości.

Ostre i ciekawe ukazanie sytu- acji Indian w książce dla młodzieży jest dużą zasługą autora.

Podobnie wygląda sytuacja Indian północnych. Dzieje Małego Bizona ze szczepu Czarnych Stóp są typowe dla wszystkich Indian, a przy tym niezwykle i tragiczne. Typowe, bo jego szczep, podobnie jak inne, wypierany w nierówną walkę prze- ciw białym kolonizatorom niosącym śmierć i zniszczenie, musiał wresz- cie przejść do życia w rezerwacie.

Autobiografia Małego Bizona u- kazuje właśnie ostatni okres boha- terskich walk szczepu Czarnych Stóp. I tu także, podobnie jak u In- dian Południowych, widzimy ko- nieczność wspólnej walki przeciw przeważającemu wrogowi. Plemiona i szczepy dotychczas zwaśnione, nię- dzy sobą łączą się, aby odeprzeć a- taki coraz groźniejszych i liczniej- szych przeciwników.

I tu także widzimy, jak w świa- domości Indian kształtuje się myśl o tym, że biali są różni. Są tacy jak Ruxton, lotr i rozbójnik, czy Whi- stler, dowódca Fortu Benton — ame- rykański rasista, „nadcziowiek” bez sumienia i honoru.

Są jednak i biali górnicy, wyzy- skiwani przez swoich „bossów”, któ- rzy opiekują się Indianiem Nocnym Orłem, którzy uczą go nienawis- ci do krzywdzieli.

Losy Małego Bizona były jedno- cześnie niezwykle, bo ten nieprze- ciwnie zdolny chłopiec — dzięki szczę- śliwemu zbiegowi okoliczności, dzie- ki upartej i wytrwałej pracy — był jednym z niewielu Indian, którzy ukończyli wyższe studia. Jednak walka, jaką toczył o poprawę nie- ludzkich warunków życia Indian w rezerwach, nie mogła przynieść sukcesów. Była to walka słowem i piórem. Apelowali do sumienia tam, gdzie rządził zysk i pieniądź. Zro- zumienie beznadziejności walki, u- pokorzenia rasistowskie, zawód i rozgoryczenie spowodowały, iż Ma- ły Bizon popchnął samobójstwo. Po- została po nim autobiografia, którą wydawnictwa amerykańskie fałszo- wały i przerabiali, pozbawiając ją najcenniejszych partii oskarżają- cych imperializm amerykański.

Książka Fiedlera jest autobiografią Małego Bizona opartą o wiarogod- ne relacje jego krewnych i tekst książki Małego Bizona. Na szcze- gólne podkreślenie zasługuje fakt, iż Fiedler potrafił ważne i złożone sprawy ukazać tak, jak widział je Mały Bizon, potrafił dać obrazy wi- dziane oczami dziecka, nie tracąc nic z tyroności opisywanych zjawisk.

Obok pięknych opisów życia In- dian, jakie różnych od tych, któ- rymi karmiła młodzież ogłupiająca rasistowska literatura, książki Fie- dlera zawierają jeszcze jeden waż- ny moment, który zbliża je do wspaniałej powieści Howarda Fa- sta „Ostatnia granica”. Momentem tym jest ukazanie i przeciwstawi- nie dwu moralności. Moralności lu- dzi walczących o słuszną sprawę, o wolność, i moralności kolonizato- rów, depczących bezwzględnie wszystko co ludzkie, bezlitośnie dą- żących do celu.

Fiedler ukazuje życie Indian w pięknych obrazach świadczących nie tylko o pogłębionym, w stosunku do poprzednich książek, rozumie- niu przez autora opisywanych pro- blemów społecznych, ale i o dużym stopniu emocjonalnego zaangażowa- nia pisarza w poruszanych sprawa- ch. Jednocześnie jednak autor nie przestaje być przyrodnikiem rozmawianym w życiu zwierząt i roślin.

Książki Fiedlera, a zwłaszcza „Rio de Oro”, przeznaczone są dla mło- dzieży. Z pewnością jednak prze- czyta je z wielkim zainteresowa- niem także i każdy dorosły. Znaj- dzie w nich bowiem rzeczy interesu- jące i ważne.

Józef Rurawski



NOWOŚCI

Honoriusz Balzac
TAJEMNICZA SPRAWA
DEPUTOWANY Z ARCIS

Dwie powieści: jedna — z pierwszych lat cesarstwa, osnuta na historii spisk- wo legitymistów dążących do przy- wrócenia władzy Burbonów; druga — z życia prowincji francuskiej pod panowaniem Ludwika-Filipa.
Str. 412 z 13,30

George Bidwell
NA FALI POKOJU

Zbiór felietonów na tematy politycz- ne i kulturalne.
Str. 112 z 2.—

Cendin Damsinsuren
OPOWIADANIA MONGOLSKIE

Dziewięć opowiadań z życia Mongoli przedrewolucyjnej i pierwszych lat Mongolskiej Republiki Ludowej.
Str. 135 z 3,50

Leonid Lencz
ZABAWNE OPOWIADANIA

Pełne humoru opowiadania z życia codziennego ludzi radzieckich.
Str. 264 z 8,50

Petru Dumitru
DRUGA BEZ KURZU

Powieść wybitnego współczesnego pisarza rumuńskiego o budowie ka- nału Dunaj — Morze Czarne. Pań- stwowa Nagroda Literacka Rumu-ńskiej Republiki Ludowej.
Całość opr. w pit.

Tom I — str. 398 z 31.—
T. II — str. 468

Yves Farge
(Laureat Międzynarodowej
Stalinowskiej Nagrody Pokoju)

PRAWDA O CHINACH I KOREI
Poparty bogatym materiałem dowo- dowym reportaż z wojny w Korei i pobytu autora w Chinach.
Str. 144 z 2,50

Antonina Koptiejewa
IWAN IWANOWICZ

Tematem powieści jest konflikt ro- dzinny w środowisku Inteligencji, rola kobiety w rodzinie i w życiu zawodowym.
Nagroda Stalinowska 1950.
Opr. w pit.

Str. 592 z 21.—

CZYTELNIK

Porwanie Sowizdrzała

Gdy tylko dyrekcja Państwowej Opery Warszawskiej ogłosiła, że zamierza wystawić trzy balety, „Coppellie”, „Sui-tę hiszpańską” i „Dyla Sowizdrzała” w tej samej wersji libretowej, w której były odtańczone w Poznaniu, zaczęły odzywać się protesty. Wszczęto nawet nagankę na autora trzech librett, nie mającą nic wspólnego z motywami artystycznymi.

Poznańskie libretta „Coppelli” i „Sui-ty” są istotnie absurdalne, o czym pisało się już tu i ówdzie. Ale w tej chwili interesuje nas raczej to z trzech librett, które jest dobre, a nawet doskonałe, mianowicie „Dyl Sowizdrzał”. Oto krótkie streszczenie libretta:

Dyl wędruje po świecie i zbliża się do jakiegoś miasta. Cyganka ostrzega go, by tam nie wchodził, bo grozi mu śmierć. Jednakże Sowizdrzał idzie do miasta, gdzie właśnie odbywa się targ. Dziecko kręcące się między straganami rozbija garnki. Dyl podejmuje konika-zabawkę i harcuje na nim. Po czym ucieka. Nadchodzą zakonnicy. Dyl wraca, swoją pelerynę udrapował w taki sposób, że przypomina ona strój zakonnika. W tym przebraniu udaje Dyl pobożnego bratczyka. Znowu ucieka i znowu wraca w inaczej ułożonej pelerynie, przebrany za wytwornego rycerza. Zakochuje się w jednej z dam. Ale zostaje rozpoznany i... ośmieszona dama poleca przepędzić niefortunnego amanta. W Dylu budzi się gniew. Zrozumiał, że pomiędzy nim a światem reprezentowanym przez piękną damę leży przepaść nie do przebycia. Z głupotą i despotyzmem możnych walcząć będzie celną i niezawodną bronią—

ironią i demaskującym ich nicosie — śmiechem”. (Streszczam i cytuję według programu, wydanego w 1950 r. przez Państwową Operę w Poznaniu). Dyl ucieka. Na rynek wchodzi grupa uczonych. Sowizdrzał wraca, dzięki odpowiedniemu udrapowaniu peleryny wygląda teraz jak jeden z nich. Wdaje się z uczonymi w dysputę i wysmiewa ich. Odchodzi. „Upłynęła chwila, zanim magistrowie połąpią się, że zostali wystrychnięci na dudka”. Gdy Dyl znowu wraca na rynek, zostaje pojmany i za swe figle zaprowadzony przed sędziów. Na próżno stara się wygaść, sąd skazuje go na śmierć. Wieszając Dyla. Tłum przygląda się egzekucji. Ale powieszony nagle wraca znowu: „w tłumie zjawia się Dyl-legenda”...

Istotnie, piękny balet. Zastanawia tylko sprawdzając się dokumentnie przepowiednia cyganki. To osobliwie u librecisty, który tak gwałtownie „socrealizuje” stare, pocziwe balety. I jeżeli ktoś szuka dziury w całym, może mieć zastrzeżenia co do powrotu Dyla na samym końcu baletu. Taki powrót dopiero co powieszonego musi zmylić widzów. Ale zresztą balet jest piękny i oryginalny. Ścisłe mówiąc: byłby nim, gdyby...

Gdyby nie istniała, wydana w Londynie (1946), książka P. Margela o genialnym tancerzu polskim Wacławie Niżyńskim, który w 1916 r. wystawił po raz pierwszy balet pt. „Dyl Sowizdrzał”. Sam Niżyński napisał libretto do muzyki Straussa ściśle według informacji samego kompozytora (w książce Margela str. 48-49). Oto krótkie streszczenie libretta:

Dyl włożył się po kraju i wchodzi do miasta, w którym właśnie odbywa się targ. Wsiada na konika i tłucze straganom garki. Po czym ucieka. Wchodzi zakonnicy. Dyl wraca w przebraniu zakonnika. Następnie zjawia się w stroju rycerza. Zakochuje się w jednej z dam. „Ale daremnie. Jego umizgi przyjmowane są z drwiną, musi odejść, wściekły. Jak można go tak lekceważyć!... Zemsta całej ludzkości!” Nadchodzą uczeni. Dyl wybiera się z uczonymi. „Chce wysmiać tych wyznawców obłudy. Gdy to uczyni, odchodzi, zostawiając profesorów i doktorów w zadumie i konsternacji”. Wreszcie Dyl zostaje pojmany i zaprowadzony przed sąd. Dyl nie chce się do niczego przyznać, ale skazują go i wieszają. Tłum przygląda się egzekucji. „Dyl stał się postacią legendarną”.

Byłoby bardzo efektowne przytoczyć obydwa libretta w całości. Lecz brak miejsca na to nie pozwala. Złożyłem w redakcji program Opery Poznańskiej z librettem „Dyla” oraz książkę Margela, w której jest także kilka fotografii Niżyńskiego w roli Sowizdrzała z rozmaicie udrapowaną peleryną.

I gdyby ktoś przypuszczał, że poznańskie libretto jest przekładem libretta Straussa i Niżyńskiego, ten może na str. 10 programu przeczytać: „Dyl Sowizdrzał. Muzyka: Ryszarda Straussa. Libretto: Tadeusza Marka”. A kto jeszcze nie wierzy, ten niech przeczyta na str. 13 tegoż programu: „Dyl Sowizdrzał”. Muzyka: Ryszarda Straussa. Libretto i inscenizacja Tadeusza Marka.

— No i pewnie także tanienty Tadeusza M. ka...
Artur Marya Swinarski

KORESPONDENCJA

TRZEBA WIĘCEJ PISAĆ O WSI

Niedawno wpadła mi do rąk książka Janka Bryla „W Zabolcu świata”. Zabolcie to jedna ze wsi białoruskich leżąca przed wojną w granicach „mocarstwowej” piśmicy polskiej. Autor powieści urodził się w Odesie, dziesięć lat i miesiąc spędził na Białorusi. Służył w polskiej marynarce wojennej. Gdy port Gdyni został okrajony przez hitlerowców w 1939 r., był dostaj się do niewoli niemieckiej, z której ucieka. Po ucieczce wstąpił do partyzantki na Białorusi. Poznał on dobrze gorzki los swojego narodu pod władzą burżuazyjnych władz polskich, poznał dołże faszyzmu hitlerowskiego. Pierwsze jego nowele i opowiadania są osnute wokół tych właśnie wydarzeń. Po powrocie do swojej wsi, Zabolcie, zabiera się do organizowania kolchozu. W ostrej walce klasowej — idea kolchozu zwycięża.

Wszystkie swe przeżycia z walki o kolchoz w Zabolcu Janka Bryla pisał w językiem ludowym opisał we wspomnianej na wstępie powieści. Za te powieści został też odznaczony Nagrodą Stalińskiego.

Dziw bierze, dlaczego ta powieść dotychczas nie zwróciła na siebie uwagi naszych wydawców i nie wyszła drukiem w osobnej książce, choć była drukowana w Literaturze Radzieckiej.

Powieść Janka Bryla byłaby dziś niewątpliwie wielką pomocą, nam, aktywistom przebudowy wsi. Z książki tej nie jeden dowiedziałby się wiele; dowiedziałby się jak ciężka była w pierwszych dniach powojennej walki na Białorusi, walka o przebudowę wsi, a przecież nie administracyjnie, nie nakazami i nie zadaniami obywateli, a przez zwołanie kolchoz w Zabolcu. O przebudowę wsi decydowali tam własnie siły wsi, siły sojuszu maso- i średniorolnych chłopów, choć kulakom nie walczyło tam sama plotką — walczyło ogniem, granatami, nożem i browninngiem, a im brutalniej i podłej kulakowo walczyło, tym więcej przybywało zwolenników nowego życia, nowej wsi.

Chcę się przekonać, jakie wrażenie wywrze ta powieść na ludziach, wypożyczę miśnięcznik z powieścią „W Zabolcu świata” jednemu z matorolnych, sąsiadującemu z bogaczem wiejskim. (Oł tego bogacza brał on ze studni wodę i... odrabiał. Dopiero obecnie bogacz bezplatnie i bez obrobek pozwala mu ją brać).

Gdy mi ten matorolny odniósł miśnięcznik po przeczytaniu powieści, zapytałem go, czego się z niej dowiedział. Odrzekł, że bardzo wiele. Że on teraz wie, jak to jest... i gdyby nie stanął i gdyby na białym koniu baron Anders przyjechał do Polski, to ja musiałbym z rok mojemu sąsiadowi bogaczowi za bezpłatne branie wody z jego studni przez lat osiem niepodległości Polski odrabiać”.

Widocznie powieść ta pomoże mu. A i wielu jeszcze w naszym kraju jest takich dobrych bogaczy tak dalece rozmiłowanych w sąsiadach matorolnych, których nie stać było na posiadanie

WYNIKI KONKURSU NA POEMAT O WJISKU POLSKIM

Ogłoszony na początku br. przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej oraz Związek Literatów Polskich konkurs na poemat o Wjisku Polskim — wzbudził szerokie zainteresowanie. Na konkurs nadesłano 149 utworów, z których znaczna część jest na wysokim poziomie ideowym i artystycznym. Komisja konkursowa, złożona z przedstawicieli Ministerstwa Obrony Narodowej i Związku Literatów Polskich z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki, postanowiła:

- I-ej nagrody nie przyznawać;
- przyznać dwie równorzędne nagrody II-gie w wysokości po 6.000 zł — poematom opartymy gdomi: „Wisła” i „Człowiek”;
- przyznać dwie równorzędne nagrody III-cie w wysokości po 3.000 zł — poematom opartymy gdomi: „Surma” i „Pawł”;
- powiększyć ilość wyróżnień do 6-tu i przyznać je w wysokości po 1.000 zł — poematom opartymy gdomi: „Ryszard” i „Warszawianka”;
- „Wolność i praca” i „H. K.” i „Lirki wojenne” i „Iar”.

Po otwarciu kopert z nazwiskami, autorami nagrodzonych i wyróżnionych utworów okazali się:

Nagroda II: Henryk Hubert, Warszawa — autor poematu „Drogi”;

Leopold Lewin, Warszawa — autor poematu „Droga żołnierza”.

Nagroda III: Tadeusz Zochowski, Warszawa — autor poematu „Bitwa pod Lenino”;

J. Zwirski, Warszawa — autorka poematu „Maria — matka żołnierza”.

Wyróżnienia: Ryszard Liskowski, Lublin — autor poematu „Ślask”;

Gustaw Przekaz, Trzynieć (Czechosłowacja) — autor poematu „Bagnet i piekło”;

Tadeusz Radwański, Warszawa — autor poematu „Piłg i miłość”;

Henryk Sarkowski, Warszawa — autor poematu „Pamięć”;

Maria Jagiello, Gliwice — autorka „Lirki wojennych”;

Jerzy Felcer, Wrocław — autor poematu „Opowieść o prostym żołnierzu”.

Wybór nagrodzonych i wyróżnionych utworów ukaże się w Wydawnictwie MON na X-lecie Ludowego Wojska Polskiego.

SPOTKANIE „NOWEJ KULTURY” Z CZYTELNIKAMI

2 lipca b. r. odbyło się pierwsze ze spotkań zespołu redakcyjnego „Nowej Kultury” z czytelnikami. Spotkanie to zorganizowane przy współudziale kierownictwa warszawskiego Domu Kultury Związku Zawodowego, zgromadziło głównie aktywistów pracy kulturalno-oświatowej z warszawskich zakładów pracy.

Wiele uwagi, jakie padły w dyskusji pod adresem zespołu, poświęcone redakcji, wyrażały się w kierunku ulepszenia pisma i ścisłego powiązania go z czytelnikami.

Dyskutowali Konarek-Korska z Centralnego Zarządu Przemysłu, Tadeusz Boczowski z ZZZ, omawiając w swych wypowiedziach treść 26 numeru „Nowej Kultury” wysunęli m. in. postulaty bardziej operatywnego publikowania w piśmie materiałów o lokalnościach (w tym wypadku materiały związane z Dniem Morza), a także o ulepszeniu i zalecie i przedłożeniu w budownictwie wykorzystanie poszczególnych numerów przy konkretnych okazjach. Za minus pisma Boczowski z ZZZ uznał brak krótkich recenzji typu informacyjnego, które mogłyby stanowić dla pracowników kulturalno-oświatowych w pracy bibliotecznej i w korzystaniu z aktualnej produkcji wydawniczej.

O bardziej ścisły kontakt zespołu redakcyjnego z czytelnikami apelowali

Seweryn Skulski

wieś Karunkowo, pow. Lipno

ZYGMUNT LEŚNODORSKI

Po długotrwałej i wyczerpującej chorobie zmarł w wieku lat 46, dnia 3 lipca b. r. Zygmunt Leśnodorski, kierownik literacki Państwowych Teatrów Dramatycznych w Krakowie. Był wybitnym teatrologiem, znawcą polskiej literatury dramatycznej, człowiekiem o wykształceniu gębokim, bynajmniej nie papierowym. W zmarłym dramaturgowie polscy tracą jednego z opiekunów, dobrze rozumiejącego, że przyszłość teatru zależy od rozwoju naszego piśmiennictwa dramatycznego, od pogłębiania jego ideowej funkcji, od jego wpływu zarówno na widownię, jak na ludzi sceny.

Zespół „Nowej Kultury”

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego

Przebieg choroby zmarłego



Maria Majerowa

Obecnie bawi w Polsce znakomita powieściopisarka czeska, jedna z najwybitniejszych wojowniczek o postępie — Maria Majerowa. Autorka „Syreny” rozpoczęła swą działalność literacką na początku dwudziestego stulecia. Już jako młodziutka dziewczynka ogłasza drukiem jedną ze swych pierwszych powieści zatytułowaną „Dzieciwotwo”, której zasadniczą problematyką jest rola i stanowisko kobiety w społeczeństwie. Do tematyki tej powraca i w późniejszych fazach twórczości. Przechwycając charakterystyczne dla epoki maniery literackie, Majero-

U PRZEWJACIOL

MARIA MAJEROWA W POLSCE

wa idzie własną drogą i coraz konsekwentniej dąży do związania swej działalności artystycznej z walką klasową oraz z zasadą realizmu socjalistycznego w sztuce. Poszczególne etapy na tej drodze są takie pozycje, jak: „Czerwone kwiecie”, „Opowieści z piekła”, „Plac Republiki”. Pierwszym jednak utworem, posiadającym poważne walory zarówno artystyczne jak i polityczno-społeczne — jest powieść pt. „Najpiękniejszy świat”, napisana w roku 1923 pod wpływem Rewolucji Październikowej i powstawania państwa radzieckiego. Tutaj p.sarka daje szeroki obraz rozwoju społecznego, z całą świadomością mówi o problematyce klasowej.

Kryształowanie się światopoglądu Majerowej następuje nie tylko pod wpływem doświadczeń literackich, ale było również wynikiem niezwykle czynnego udziału jej w życiu politycznym i społecznym. Jako działaczka robotnicza i redaktorka dziennika „Pravo Lidu” a następnie komunistycznego dziennika „Rude Pravo” Majerowa wyjeżdża za granicę i zdobywszy nowe doświadczenia pisze reportaże: „Wrażenia z Ameryki” oraz „Dzień po rewolucji” (1925) — o piątym zjedzie Trzeciej Międzynarodówki.

Dalszym etapem na drodze rozwojowej czeskiej pisarki jest powieść

„Zapora”, stawiająca odważne zadanie rewolucyjnego rozwiązania sprzeczności społecznych. Jest to powieść napisana w roku 1932, to znaczy w czasach kapitalistycznego kryzysu gospodarczego, bezrobocia i stagnacji politycznej.

Kulminacyjnym osiągnięciem Majerowej w dziedzinie pracy literackiej jest niewątpliwie „Syrena” (1936). Ta po mistrzowsku napisana powieść w sposób obrazowy i plastyczny przedstawia problematykę mierzącego do rewolucji okresu lat sześćdziesiątych. „Syrena” to jeden z czołowych utworów czeskiej literatury, zawierający w sobie niezwykle sugestywnie odmalowaną prawdę życiową i pokazujący, na tle społecznych przemian, prawdziwych, pełnokrwistych, nieszlachetnych, żywych ludzi.

Mówiąc o działalności Marii Majerowej nie można pominąć jej zainteresowań natury metodologicznej, których wyrazem jest „Rzut oka na warsztat” (1929), będący przyczynkiem do marksistowskiej teorii literatury.

Obecnie Maria Majerowa, pomimo swych siedemdziesięciu jeden lat, zajmuje się w dalszym ciągu pracą literacką i polityczną, nie ustając w wysiłku nad budową socjalistycznej ojczyzny.

Do Tadeusza dyrektora PGR-u

(Dokończenie ze str. 2-ej)

Fenrych ze spółdzielni „Korona” i Gajduch z CZPT. Ob. Gajduch wysunął ponadto postulat zwracania szczególnej uwagi na przystępność języka w wierszach i artykułach „Nowej Kultury” — która swoimi tematami powinna kierować do wszystkich czytelników bez względu na ich poziom intelektualny.

Wiele cennych uwag w trakcie dyskusji wysunęli pracownicy Domu Kultury Związku Zawodowego Ornoch, który mógł m. in. o dezzyderatach, jakie wysuwał wobec „Nowej Kultury” aktywni w pracy kulturalnej i świetlicowej. Onoż wszyscy zgodzili się, że „Nowa Kultura” — zdaniem mówcy — winna w większym niż dotąd stopniu przyczynić się do wypracowania zasadniczych dróg ideowych i głąbnych rozwoju pracy kulturalnej i w większym niż dotychczas stopniu obrazować w kierunku swego literatury w budowie socjalizmu w naszym kraju.

W podobnym sensie wypowiadali się ze strony czytelników „Nowej Kultury” ob. ob. Mierzejewski i Timoszewicz, którzy zarzucili pismu m. in. zbyt pobieżne i niepełne obrazowanie przemian ekonomicznych, zachodzących w kraju, wpływających na ludzi i stosunki społeczne.

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wypowiedź studenta polonistyki Timoszewicza, zawierała m. in. analizę małego

Wyp

Wbrew znowie wydawców

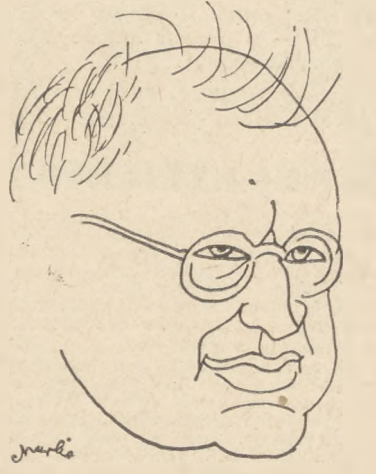
Książka wydana przez wielką amerykańską firmę wydawniczą rozpoczyna swój oficjalny żywot od krótkich wzmianek na ostatniej stronie „New York Times” lub „New York Herald Tribune”. Później ukazuje się zazwyczaj recenzja w „Saturday Review of Literature”, po której w zależności od nasilenia kampanii reklamowej sławia utwor i autora tysiączne magazyny w przerwach między pochwałą żytelek do gołeniasy, pasty Durbansa i nylonów extra klasy. Wreszcie kampania się urywa, autor i jego dzieło idą w niepamięć, zwłaszcza że: nowiżnizm nie praktykuje się. Proces jest zakończony. Kiedy jednak któraś z powieści zyska sobie rozgłos nieprzeciętny albo broń Boże zostanie uznana za „gwóździ” sezonu, wówczas przed pisarzem otwiera się smutna kariera kategoryziarza. Wydawnictwo bowiem inkasując płynące szeroko strumieniem dolary stawia natychmiast ultimatum: następna książka musi być ta! sama jak ta, która odniosła sukces. Jeśli więc w pierwszej inteligentna, dowiecipia panna tak dalece odrzuci dziennikarza, że się z nią ożenił po przeżyciu dramatycznego momentu katastrofy samochodowej, to w drugiej inteligentna, dowiecipia panna winna wzbudzić taki zachwyt w sławnym malarzu, że ten natychmiast po krwawej ułtarce gangsterów, w którą przypadkiem oboje młodzież zostają wplątani, oświadczy gotowość wyruszenia do urzędu stanu cywilnego. Trzecia — podobnie jak dwie pierwsze idt. Czasem elementem budzącym zainteresowanie jest egozjuka ukazanego w powieści kraju. Tak się ma na przykład z twórczością Faulknera, który już od szeregu lat produkuje powieści o Stanach Południowych, przy czym jest to Ameryka powstała w jego fantazji. Znamy więc z powtarzających się w różnych książkach opisów nieistniejącego okręgu Yoknapatawpha, jego ludność i krajobraz. Czas akcji — południe sprzed 200 — 300 lat — nieskazitelną najazdem yankesów, z dobrymi Murzynami kochającymi swych panów i pracującymi dla nich z najwyższym poświęceniem i największą radością po 20 godzin na dobę. Niekiedy okres jest ózniejszy, a tym samym trudniejszy do idealizowania. I wówczas jednak nawet przed linczem potrafią ochronić czar jego biali dobroczyńcy („Nie należy szukać w pyłach”), odkrywający w porę właściwego winowajcę zbrodni.

Jeśli autor odmówi swej zgody na ultimatum lub jeśli przypadkiem zechce pisać prawdę o życiu, wówczas na jego rękopisy pada głucha pieczęć milczenia, nawet jeśli jest pisarzem tak znanym jak Howard Fast.

Redaktor naczelny amerykańskiego wydawnictwa „Little Brown and Company” — August Cameron nadał krótki, entuzjastyczny telegram: „Jestem dumny, że będziemy mogli wydać tę powieść, i przekon-

ny, że rozefdzie się ona jeszcze lepiej niż „The Proud and the Free”. Gratulacje”.

Autor, a był nim właśnie Fast, przyjął do wiadomości pochlebną opinię, potwierdzoną jeszcze żózniej w ustnej rozmowie, i rozpoczął pracę nad swym następnym utworem. Po upływie kilku tygodni otrzymał jednak pismo, z którego wynikało nieduwznacznie, że „Little Brown and Company” rezygnuje z zamiaru wydania „Spartakusa”. Książka ta, złożona następnie u innych 6 wydawców, nie została nawet przez nich przeczytana. Ameryka przemocy wypowiedziała walkę. Fast nie pozostał bierny. Postanowił sam wydać swą powieść. Potrzebne były jednak na to pieniądze, których autor „Clarionu” nie miał. Zwrócił się więc z apelem do przyjaciół i czytelników, by zakupili niewydaną jeszcze tom, przesyłając 5 dolarów pod wskazany adres. „Spartakus” miał ujrzeć światło dzienne w momencie, kiedy wystarczająca



rys. Charlie Howard Fast

ilość osób nadesłała wzmiankowaną przedpłatę.

Pomyśl był oryginalny i spotkał się ze spontaniczną odpowiedzią społeczeństwa. W ciągu kilku pierwszych dni na apel, odpowiedział ponad 1500 osób, umożliwiając Fastowi wypuszczenie pierwszego wydania, a napływające wciąż zgłoszenia spowodowały konieczność szybkiego rzucenia na rynek dalszych pięciu nakładów. W chwili ukazania się na półkach księgarskich „Spartakusa” sprzedanych już było 23.000 tomów. Jednocześnie „Liberty Book Club” zawarł z autorem umowę na wydanie 15.000 egzemplarzy.

„Wydając „Spartakusa” — pisze Howard Fast — zrobiłem doświadczenie jedynie w swoim rodzaju dla pisarza amerykańskiego. Było ono tym ciekawsze, że przyniosło mi jednocześnie około 4000 listów, w których czytelnicy wypowiadają się na temat ostatniego mego utworu oraz całokształtu twórczości pisarskiej. Z listów tych zrozumiałem, że ze względu na moje życie i walkę, to co piszę ma wartość symbo-

liczną w boju o kulturę amerykańską, o amerykańskie tradycje wolności i demokracji. Lektura 4000 korespondencji stała się jednym z najbardziej wzruszających doświadczeń mego życia, tym bardziej że dowiedziałem się z niej wielu rzeczy, a jednocześnie zbliżyłem się do tych, którzy czytają prozę i wiedzą, czego od niej chcą”.

„Spartakus” jest to książka walcząca. Opisuje ona zmagania o zachowanie godności ludzkiej oraz historię starodawnego, nie kończącego się nigdy oporu przeciw tyranii, oporu, który pewnego dnia przyniesie wyzwolenie i całej ludzkości. Jest to książka, której ludzie nie bali się kupować, a którą księgarnie zastraszani w poprzednim roku umieścili w swych witrynach dopiero wówczas, kiedy przeszło 200 bibliotek publicznych zamówiło ją bezpośrednio ode mnie. Obecnie mam zamiar, jeśli tylko będzie to możliwe, posłużyć się tą książką, by chociaż trochę zwalczyć te ignorancję, nietolerancję i cenzurę, które zostały nam narzucone w ostatnich latach”.

Jadwiga Pasenkiewicz

BIBLIOTEKA ŚWIETLICOWA „CZYTELNIKA”

BOLESŁAW PRUS
wieczór literacki
oprac. Aleksandra Naborowska

Fragmenty i inscenizacje utworów Prusa (z pogadanką i teatrami do dyskusji) składające się na program wieczoru literackiego w świetlicy
Str. 10 zł 5,—

MARIA KONOPNICKA
PIESNIARKA LUDU
wieczór literacki
oprac. Aleksandra Naborowska

Poezje, pieśni, fragmenty i inscenizacje nowel Konopnickiej (z pogadanką i teatrami do dyskusji) składające się na program wieczoru literackiego w świetlicy
Str. 92 zł 4,50

OD ODROBKU DO DOROBKU
satyryczne podorywyki
oprac. Zenon Wiktorczyk

Skecze i piosenki poruszające problematykę dzisiejszej wsi.
Str. 88 zł 5,—

Stanisław M. Ostrowski
„ARKA 7” NIE ODPOWIADA
Jednoaktówka

Jednoaktówka o współwzrostach między zalogami kutrów rybackich i przyjaznej współpracy rybaków polskich z rybakami z NRD.
Str. 52 zł 2,60

„CZYTELNIK”
K 7666-1

EDWARD HOŁDA NOWA GOSPODARKA CZYLI STARE KŁAMSTWO

Z powodu wiersza „Nowa gospodarka”, wydrukowanego w Nr 21 tygodnika „Życie Literackie”.

O, zielona, zielona
Polsko, pracą znaczoną,
pszeniczne wokół lany,
żyła krąg wylaczany,
nie nie szczęknie, nie jęknę,
każdy wzdycha: jak pięknie!

Srebrny przelot motyla,
wiatr, co kłosy zapyla,
konieczyna przy rzece,
słonko, bocianie hece,
obłok czy może chmurka,
babie lato, przepiórka...

Aha, byłbym przeoczył:
także słowik uroczy,
roku wszystkiejki pory,
ćwikla i pomidory,
mleczko, jakowys owad
i flaga narodowa.

Oto wyznanie wiary!
Hurra! Jeszcze sztandary!
Oczywiście — czerwony.
Na dodatek — zielony...

Za mało — jedna flaga:
treść byłaby zbyt naga.

Jak to cieszy, zachwycza:
prastara kalenica,
złoty gnojówki zacieł,
brud romantyczny w chacie,
uroczyśka rupieć,
a przede wszystkim — dzieci!

Lachman chudość otula,
w ręce ziemniak, cebula,
jadło witaminowe,
religijne i zdrowe...
Raj łzami osolony,
wprost polecać z ambony!

Jak to cieszy, zachwycza:
mechaniczna masłnica,
pod dachem na zastronlu
popłatny liść tytoniu,
w sąsiedkach pełne wory,
radio Londyn — w wieczory.

Jakie to jest radosne:
czarna porzeczka, czosnek;
doprawdy, to urzeka:
mak, szpinak i pasieka,
a najbardziej — nasiona,
o Polsko wyzwolona!

Dla państwa? Nie pochopnie!
Z boku się coś tam opchnie,
poobraca towarem,
kieduż da na ofiarę,
dochody się rozplenią:
znow będzie grubszy pieniądź.

A jak to było ongiś?

Dzikie róże i głogi...

Nie. Chłop ziemi nie skrwawił.
Nie. Nie było Raclawic.
Nie olów. Nie bykowiec.
Nie kośba w Lapanowie,
nie... Nie groby i dymy.
Nie. Sanacja to wymysł.
Za wieszczkiem wzlot powtórzę:

głogi były i róże...

Mam! różni cwanlacy,
nie dajmyż się, rodacy:
Czyż kiedy sobie zrywał
bandos ręce we żniwa?

Czyż wrzała wleś bezrolna?
Czyż się buntował fornał?

Czyż to o nasze plony
walczył żołnierz czerwony?

Czyż do wielkiego nowiu
robotnik chłopu powiódł?

Czyż ginał komunista?
Czyż mordował faszysta?

Czyż w ogóle zza węgla
kula kogoś dosięgła?

Czyż kto kogo niewoili
do wspólnoty na roli?

Co jeszcze? Żołę i ocet
wahań w bezsennie noce?

Ze ojciec przeklął syna,
rozpadła się rodzina?

Bujda! Powlecowano,
no i mlede zorano.

O zielona, zielona
Polsko, pracą znaczoną...
Bitwa. Klasowy atak.
Ze sobą samym zatarg.
Traktor w kłósów zamieci:

coraz mniej nędznych dziecił.
Placzą święci ze ślany:
coraz rzadziej lachmany.
Ploną lampki ilijcza.
Partia drogi wytacza.

Radość wspólnej uprawy.
Agitacja. Odstawy.
Nie trawka, nie motylek:
dnówec tyle a tyle.
Nie lachowa muzyka
i świerścza, co gdzieś tam cyka...

O, redaktorze! A ty
drukuj mgiełki i kwłaty.
Liberalizm? A co tam!
Brak czujności? Ślepotą?
Niech żyją gładkie słowa
i flaga narodowa!

Oto wyznanie wiary!
Hurra! Jeszcze sztandary!
Oczywiście — czerwony.
Na dodatek — zielony...

Za mało — jedna flaga:
treść byłaby zbyt naga.



rys K Baraniecki
— Trzeba coś napisać o akcji żniwnej...

LISTY Z DALEKIEGO WSCHODU (3)

Quirino czy Magsaysay?

Celem wycieczki, o której wspominałem, była pewna misja osobliwa — polegała ona na tym, że na środku jeziora w górach był wulkan, w kraterze wulkanu znowu jezioro, a na środku tego wewnętrznego jeziora bodaj jeszcze jedno wysepka (tego ostatniego szczegółu nie jestem pewny — jezioro mogłoby oglądać tylko z daleka, z hotelu przy drodze na szczycie sąsiedniej góry, było ono bowiem otoczone lasami, a w lasach mogli być partyzanci).

Ostrożność gospodarzy nie była zresztą nieuzasadniona. Kiedy kilku członków delegacji francuskiej próbowało wybrnąć się samodzielnie na wycieczkę, zostali w odległości 20 km od Manili ostrzelani z karabinu maszynowego, bardzo pośpiesznie więc wrócili i wyrekli się wszelkich wycieczek.

Mimo halasu, z jakim się odbyła, wycieczkę wspominały z przyjemnością — miejscowość, w której byliśmy, leżała w górach, było więc tam znacznie chłodniej niż w Manili i pamiętałem tę wyprawę jako jedyne kilka godzin na Filipinach, w ciągu których nie byliśmy pokryci potem. Poza tym mieliśmy możność nauce stwierdzić to, o czym czytaliśmy w książkach, a mianowicie, że Wyspy Filipińskie są pochodzenia wulkanicznego, że znaczna część wulkanów jest w pełni czynna i że proces kształtowania się Filipin nie jest jeszcze zakończony nie tylko pod względem politycznym, ale również geologicznym.

W czasie wycieczki przestaliśmy również mieć wątpliwości co do delegata południowo - koreańskiego, którego działalność zwróciła naszą uwagę od kilku dni. Pierwszy raz zauważyliśmy go, kiedy niedługo po naszym przyjeździe siedzi w czasie lunchu przy stoliku obok naszego i coś majstrował przy wspaniałym „Contaxie”, z którym się nie rozstał. Ścisłe mówiąc, uwagę naszą zwrócił jakiś jego gwałtowny ruch w momencie, kiedy skierowaliśmy w jego stronę spojrzenia — w każdym razie wtedy kiedy już patrzyliśmy na niego, w manifestacyjny sposób fotografował palmę stojącą w kącie sali. Następnego dnia w czasie śniadania również siedział przy sąsiednim stoliku i z wielkim zainteresowaniem robił zdjęcia brzegu morskiego. Kilka godzin potem stałem przy wyjściu z hotelu i zastanawiałem się, czy wkroczyć w rozpaloną przestrzeń przede mną — przypadkiem spojrzawszy w bok zobaczyłem od kilku kroków od siebie Południowego Koreańczyka z wycelowanym „Contaxem” — zauważywszy mój ruch zaczął robić gorączkowe zdjęcia w górę — prawdopodobnie ptaków siedzących na palmach.

Ponieważ i tak musieliśmy złożyć swoje zdjęcia przy staraniu się o wizę zarówno tranzytową przez Niemcy zachodnie, jak i filipińską, podchodziliśmy do jego działalności tylko jako do objawu braku koordynacji w FBI i że złośliwa przyjemnością utrudnialiśmy mu wykonanie obowiązów — zwłaszcza że jak stwierdziliśmy po przeprowa-

dzeniu szeregu eksperymentów, musiał mieć nasze zdjęcia nie tylko „en face”, ale i z profilu. Sytuację utrudniała mu jego własna wstydliwość — koniecznie chciał zrobić nasze zdjęcia w ten sposób, żebyśmy tego nie widzieli, co ile razy patrzyliśmy w jego stronę, zmuszało go do ożywionego fotografowania fragmentów domów, samochodów, palm i pustej przestrzeni, i powodowało duże marnotrawstwo filmów. Ponieważ poza namy usiłował sfotografować tym samym systemem wszystkich członków licznej delegacji radzieckiej oraz delegację czeską i węgierską, miał faktycznie pełne ręce roboty przez cały czas konferencji.

Policjanci filipińscy chodzą w mundurach przypominających czang kai - szekowskich i noszą olbrzymie rewolwery maszynowe, sięgające im bez mała do kolan. Wojsko wygląda mniej wspaniale niż policja — na przeciwko naszego hotelu była łazeczka, na której przez cały czas pobytu odbywała się musztra i widok nie był zbyt budujący. Nie byliśmy pewni, czy ćwiczenia były specjalnie na naszą cześć, czy były jednym z objawów toczącej się właśnie wtedy rozgrywki między ministrem spraw wojskowych a prezydentem, czy wreszcie były rzeczą normalną.



Zaulek w Manili

Jeżeli już mowa o rozgrywce między prezydentem a ministrem spraw wojskowych, to warto o niej powiedzieć nieco szerzej.

U przyczyn rozgrywki leżał fakt, że obecna administracja Filipin zdolała się już całkowicie skompromitować wobec społeczeństwa, zwłaszcza na prowincjach, z których prawie 2-milionowa, pasożytnicza Manila wyciąga ostatnie soki, jak

potworny grzyb wyrosły na ciele kraju. Amerykanie doszli więc do wniosku, że trzeba narzędzie wyzysku społeczeństwa filipińskiego odnowić, obecny minister wojny Magsaysay nagle zrezygnował ze swego stanowiska. Jako powód podając różnicę zdań z prezydentem, przeszedł on z partii obecnie rządzącej na stanowisko przewodniczącego partii obecnie opozycyjnej i oświadczył, że w nadchodzących wyborach sam będzie kandydował na prezydenta. W ten sposób wyborca filipiński będzie mógł w nadchodzących wyborach swobodnie i demokratycznie zadecydować, czy woli jako prezydenta Quirino czy Magsaysaya — podobnie jak wyborca amerykański mógł równie swobodnie i demokratycznie decydować, czy woli Trumana, czy Eisenhowera (naśladownictwo zostało utrzymane nawet w tym, że nowy kandydat jest wojskowym). Gazety amerykańskie równocześnie z rezygnacją Magsaysaya odkryły nagłe, że rząd Quirino jest przeżarty przez korupcję i zaczęły robić reklamę Magsaysayowi, „pogromcy Huków” — obecny prezydent Quirino również nagłe odkrył (czego widocznie przedtem nie zauważył), że USA interweniuje w wewnętrzne sprawy filipińskie i zaprotestował przeciwko temu — wobec czego ambasador USA w Manili wydał okólnik do wszystkich oby- ateli amerykańskich, zamieszkałych na Filipinach, by nie interweniowali w nadchodzących wyborach, gdyż jest to wewnętrzna sprawa filipińska — okólnik został podany przez całą prasę filipińską jako najlepszy dowód, że „Amerykanie” istotnie nie interweniują w wyborach.

Inne (poza wozami z syrenami i rewolwerami maszynowymi) narzędzia pomocnicze policji — prasa, kina, radio — są również na wysokim technicznie amerykańskim poziomie. Wp. wszystkie kina w Manili są urządzone luksusowo i „air conditioned”, tzn. chłodzone za pomocą pompowania mrozonego powietrza. Gazety ukazują się co najmniej dwa razy dziennie, są utrzymywane w super-amerykańskim stylu (np skróty P. Q. w tytułach oznacza Prezydent Quirino — ma to demokratycznie zbliżyć czytelnika do Prezydenta). W gazetach poza artykułami na niskim poziomie i wiadomościami ze świata, bardzo aktualnymi i bardzo ocenzone, wnymi, znajdują się komunikaty o walkach z „Hukami”, dla rozrywki czytelnika dużo wiadomości o interesujących morderstwach i zgwałceniach, dla rozładowania niezadowolona trochę sprawozdań z procesów sądowych o łapownictwo na drobne sumy. Charakterystyczna jest duża ilość notatek „kidnapping”, czyli porwania przez gangsterów dla okupu bogatych kupców, lekarzy i ich rodzin — zastanawialiśmy się, czy niektórych z nich reporterzy nie fabrykują umyślnie, by udowodnić, że Filipińczycy naprawdę dorównują już Amerykanom, jakkolwiek nie mają całkiem białej skóry.

Poza tym gazety prorządowe podają, że ilość analfabetów z 58 proc. przed 10 laty została zmniejszona do 48 proc. — gazety antyrządowe wysmiewają te cyfry — w szczególności nie jest pewne, czy te 58 i 48 proc. odnosi się do ogółu ludności, czy tylko do tych, którzy objęci zostali rejestracją.

Jerzy Jurkiewicz

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Chwyty z dziećmi

Kręcenie filmów o dzieciach lub wprowadzanie dzieci do filmów ma w sobie, dla mnie osobiście, coś z „nieczytanej chwyty”. Siła wzruszenia, jaką udaje się osiągnąć przy pomocy dzieci, we wszystkich prawie wypadkach jest znacznie większa, niż na to zasługuje ładunek treściowy przedstawianego zdarzenia. Lzy dziecka mają nieporównanie większą wagę emocjonalną niż lzy dorosłych, radość dziecka jest większa od każdej innej radości. Sądzę, że tak odczuwa te sprawy normalny widz kinowy, tak odczuwa je każdy normalny człowiek w sztuce i w życiu. To też dzieci stały się nie od dzisiaj ulubionym tematem wielu reżyserów i scenarzystów filmowych, na przemian to bawiąc, to — częściej znacznie — wzruszając widownię wszystkich kontynentów. Niedawno znany reżyser francuski René Clement doszedł do swoistej perwersji w wykorzystaniu dziecięcych bohaterów, nadając filmowi o niedowiarzowej i mętnej tendencji pacyfistycznej „Zakazane zabawy” zupełnie nieuspółmierną do jego istotnych walorów sugestywność.

Oczywiście nie należy traktować sprawy zbyt dosłownie i serio podnosić hasła „Dzieciom poniżej lat 18 wstęp na ekran wzbroniony”, należy sobie jednak zdać sprawę z faktu, jak wiele sztamp i płychnych myślowych przedostało się do filmu właśnie drogą owej „dziecięcej kontrabandy”. Z drugiej strony warto sobie uświadomić, jaką głębię i wartość emocjonalną osiągnąć może film, w którym dziecko nie jest środkiem, przy pomocy którego reżyser ułatwia sobie kontakt z widownią i maskuje braki filmu, ale reżyseruje ono istotnie głęboko i przemyślaną ideę dzieła filmowego.

Przejdźmy teraz do sedna sprawy. Na ekranach Warszawy pojawił się niedawno film Louis Daquina „My, urwisy”. Film ten został zrealizowany w roku 1941 pod rządami Vichy i cieszył się dużą popularnością we Francji w okresie wojny.

Georges Sadoul wystąpił z tezą, że celem filmu było przeciwstawienie oportunistycznemu drobniomieszczaństwu francuskiemu, godzącemu się z okupacją hitlerowską, młodego pokolenia Francuzów — solidarnych, śmiałych i pomysłowych chłopców w wieku szkolnym. Teza Sadoula jest do przyjęcia, ale z jedną poprawką — tak, być może, zrozumiała ten film widownia francuska, oglądając go w latach okupacji. Jednakże reżyser, i to trzeba powiedzieć przy całym szacunku dla Daquina, zrobił wiele żeby te właśnie akcenty w filmie nie zagrały najmocniej. Dł się on uwiścić, jak wielu przed nim i po nim, atrakcyjności „samogrającego tematu” i wszędzie tam, gdzie pozował mu na to (bardzo dobry) scenariusz, poszedł po linii zatrącającej sztafki. Tak chyba należy rozumieć zaskakującą finał filmu (ponownie wybija sztyba), tak też grają nieznośne, pocztówkowe i ukwiecone zdjęcia, w których film pokazuje literyczne scenki parry zakochanych. I dlatego dzisiaj, kiedy nadzwyczajne okoliczności, nadające temu filmowi barwy nieomal sztandaru narodowego, nie istnieją — film, choć zabawny, choć podobający się większości widzów pozostawia jednak miedosyły myślowej koncepcji. Wykazać to nie trudno przy pomocy najprostszych z możliwych zestawień — ze znakomitym filmem Vittorio De Sici „Dzieci ulicy”. Tam też mamy chłopięce zabawy, plany konfliktu i marzenia, ale także potężnym głosem odzywa się w tym filmie protest przeciw złemu światu kapitalizmu, jak wartki nurtem płynię przez ten film smutna historia marshallowskiego kraju! De Sica nie poszedł po łatwej drodze i lzy jego nieletnich bohaterów nie zatrącają gliceryną.

Mam wrażenie, że sprawa „chwytów z dziećmi” ma i na naszym gruncie niepoślednie znaczenie. U nas wieki niewłaściwych podlegających owym „chwytom” przesunął się znacznie w górę, sięgając prawie dwudziestki, c'e istota procedury została ta sama. Przypomnijmy — a nigdy nie jest za późno na przypomnienie, szczególnie że na warstwie filmowym mamy w tej chwili nowy film młodzieżowy Koźnińskiego i Forda „Piątka z ulicy Barskiej” — ile w naszych filmach („Pierwszy start” czy „Zaloga”) było rzetelnie przemysłowego problemu, ile prostej prawdy a ile wartości ludzkiej, dla których „egozjuka” młodzieżowego środowiska stawiała się paszportem nie tylko na ekran, ale i do kruczych widów.

Krzysztof T. Toeplitz